

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 3 STYCZNIA 1931 ROKU

NR. 1

TREŚĆ NUMERU: Kultura uczuć — *M. Beniśławska*. Brońca — *S. Borowska*. Wiersze zimowe: „Poranek“, „Śnieg“, „Odwilż“, „Dziewczynka z zapalkami“, „W tamten wieczór“ — *Ludwik Fryde*. Muy interessante (y curioso) — opowieść hiszpańska — *A. J. Kowalscy*. Minjaturowa ambasada — *Aura Wyleżyńska*. Salon listopadowy u Baryczków — *I. J. Z teatrów* — *S. P. O.* Z życia muzycznego — *P. L.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Wystawa haftów ludowych w poselstwie Bułgarskiem — *S. P. O.* Nowoczesne meble — *J. Ginett-Wojnarowiczowa*. Instytut gospodarstwa domowego — *Janina Godłowska-Huberowa*. Czyistość i higiena w gospodarstwie — *Zofja Prażmowska*. Oprawianie książek, jako miła rozrywka — *H. L.* Paciorki i inne drobiazgi — *Well*. Sportowa czapeczka z czesanej wełny. Przepisy gospodarskie. Arkusz wzorów.

## KULTURA UCZUĆ

W życiu codziennym zwykliśmy przeciwstawić rozumowi — uczucie, jako dwa światy, dla siebie wzajem nieprzenikliwe i kontrastowo sprzeczne.

Serce — to gorącość, nieobliczalność, wybuchowość, nieograniczenie — potęga, ale nieokiełznana, coś w rodzaju piorunu z przed zbadania elektryczności. Rozum — to chłód, ścisłość rachunku, spokój, opanowanie — niby maszyna o stalowych trybach, obmyślonych w każdym atomie, obojętna na wszystko, co nie zaczepta o jej zębate koła, bezwzględna i niezłomna siła.

Przedewszystkiem jednak wierzymy, że dwa te motory życia — rozum i uczucie — mogą tylko ze sobą się zmagać, mogą się wzajem unicestwiać, czy przezwagać kolejno, ale nie mogą współpracować harmonijnie. O rozumie i uczuciu mówi się: jak ogień i woda!

Przesąd o zasadniczej niezgodności uczucia i rozumu jest jednym z najszkodliwszych przesądów, prowadzi bowiem do logicznego wniosku, że uczucie jest i pozostanie nazawsze poza dosięgiem wszelkiej kultury, że jest elementem nie do kultywowania, nie do wychowania; najwyżej — do „okiełznania przez rozum“, jak się mówi potocznie, rozumiejąc zresztą przez to nie wpływ rozumu na samą istotę uczucia, a raczej zahamowanie przez rozum zewnętrznych objawów uczuć.

Ten rodzaj opanowania rzadko bywa skutecznym, ale często szkodliwym, gdyż raczej potęguje uczucia i to te właśnie, których objawy pragniemy unicestwić, zatem przeważnie uczucia natury ujemnej. Dlatego też spotykamy się ze zdaniem, że przynajmniej sil-

niejsze afekta opanować się nie dają i że wogóle bezwzględne sprzeciwianie się im jest prosto niebezpieczne, narażając na szwank całą organizację psychofizyczną człowieka.

Jedno i drugie jest i pozostanie prawdą, dopóki dziedzina uczucia będzie w życiu naszym, dziś nawskroś kulturalnym, jakoby oazą dzikości pierwobytniej, nietkniętą wpływem głębszej cywilizacji.

Takie uchylenie się całej, bardzo ważnej dziedziny — sfery uczuć — od wpływu wychowawczego sprowadza ową dysharmonję pomiędzy szybko dążącym naprzód rozwojem intelektu i techniki, a wciąż jeszcze nie zaszczeptaoną dziedzicą uczucia, które wśród przeoranego kulturą życia współczesnego coraz mniej znajduje miejsca dla swych żywiołowych przejawów, coraz bardziej karleje i wyrodnieje, grając rolę dzikiego indjanina, usuwanego coraz dalej na tereny pozacywilizacyjne.

Taki nierównomierny rozwój wpływa zresztą ujemnie na całokształt życia kulturalnego; brak harmonji, brak spokoju i zanik tego, co w psychice człowieka zwiemy charakterem, sprawia, że wszystkie, cudowne zresztą, zdobycze postępu nie czynią życia ludzkiego piękniejszym i szczęśliwszem. Do tego celu zbliżyłby nas mogła jedynie równowaga wszystkich dziedzin kultury — życie aż do dna kulturalne.

Uczuciowość głębszą i żywszą przypisywano od wieków kobiecie; jednak jej dotychczasowe zaniedbanie w dziedzinie kultury intelektualnej powodowało jednostronność, niweczącą harmonję, kompromitującą samo uczucie, przeradzające się w jałowy sentymentalizm.



Orz 434/64

Dziś dopiero kobieta, już nie usuwana od głębszego wykształcenia umysłowego, może się uczuć powołaną do przeprowadzenia rozwoju kulturalnego włąb ludzkiej jaźni, w sferę afektu właśnie.

Uczucie w swojej formie obecnej — dzikiej, a-kulturalnej — jako organ szczałkowy i zawadzający, wypierane z ustroju współczesnego życia, jest jednak w zasadzie niezbędnym pramotywwm wszelkiego wysiłku, jest owym cudownym *spiritus movens* wszechczynu, jest sprężyną, wprawiającą w ruch dźwignię woli, jest — jednym słowem — potęgą twórczą pierwszej wagi, elementem — rzekłoby się w myśl dawnych nawyków — nawskroś „męskim“. Bardziej „żeńską“ siłą organizacyjno-wykonawczą nazwałoby można rozum.

Ale przedewszystkiem, w kolejności rozwoju, uczucie jest słabsze od władz rozumowych. Afekta tkwią swoim pra-początkiem het, w ciemniach podświadomego, w niezmiernie ważnych i niedocenyanych latach pierwszego dzieciństwa; w czasie stawania się tych podwalin jaźni człowieka, na których oprze się późniejsza nadbudowa, a może ściślej: wleje się w nią, jak w gotową już formę.

To też okresem niezmiernie subtelnej i odpowiedzialnej pracy nad szczepieniem szlachetnych uczuć na dziczce naturalnej są właśnie pierwsze lata życia, lata „w objęciach matki“.

Intuicja matek bywała tu niekiedy cudowną nicią Arjadny, nie wystarczającą jednak w miarę komplikowania się warunków życiowych, w miarę oddalania się dziecka od macierzyńskich rąk i duszy. Intuicja zresztą jest darem dosyć rzadkim i zgoła nie gwarantowanym przez samo macierzyństwo. Kultura uczuć przeto stać się powinna elementarnem zadaniem wychowawczem, powierzonom niekoniecznie fizjologicznej rodzicielce, ale koniecznie komuś, posiadającemu, poza wszelkiem wykształceniem fachowem, dar swoisty oddziaływania (oczywiście — dodatnio) na budzącą się psychikę małego dziecka.

Ze jednak dotąd przeważająca ilość ludzi nie znalazła żadnego świadomie zorganizowanego kierunku w owej, może najważniejszej epoce życia, kiedy dziecko bywa tak gorąco kochane i tak zdumiewająco lekceważone, w epoce rozwoju przyszłych indywidualnych, zasadniczych cech — i kształtowała swą uczuciowość mniej więcej pod wpływem przypadku i po linii skłonności przyrodzonych — doksztalcanie siebie w późniejszym wieku staje się koniecznością. Zresztą, jak umysłowy, tak i każdy inny rozwój iść musi naprzód nieprzerwanie, pod grozą obniżenia nawet już osiągniętego poziomu.

W pracy nad kulturą uczuć bróddzi nam tylko, niestety, autosugestja o tej właśnie rzekomej niepodatności pierwiastku uczuciowego do przekształceń ewolucyjnych. Dlatego, że powstanie afektów z ich swoistem zabarwieniem ginie w oddaleniu lat kolebkowych,

skłonni jesteśmy widzieć w nich coś narzucenego nam zgóry, coś ciężącego na nas, jak niezni-szczalne fatum.

Wistocie te pra-afekty, na których podłożu wyrósł nasz późniejszy, pozornie z czysto rozumowych przesłanek wysnuty światopogląd, są bajecznie trwałe, przeważnie jednak tylko, dopóki ich nie wywołamy na światło świadomego osądu; wtedy bowiem nieraz owe „wrodzone“ afekty rozpierzchają się, jak obraz na prześwietlonej kliszy, lub dają się przetworzyć na drodze celowej i metodycznie przeprowadzonej pracy nad sobą.

Praca ta zwykle, gdy ją przedsięwzięmy bez uprzedzeń i prowadzimy umiejętnie, daje nadspodziewanie dobre, a nawet szybkie rezultaty. Pamiętać jednak należy, że odchwaszczenie własnej psyche, tak często przerośniętej niepotrzebnymi afektami, dokonać się powinno nie — broń Boże! — na drodze tłumienia *wyrazu* afektów, tylko przez tych afektów usunięcie, czy przekształcenie.

Praca ta zatem polegać będzie przedewszystkiem na selekcji uczuć, z których jedne uznamy za ujemne, a drugie za dodatnie. Ujemne postaramy się, nie wysilając się na zewnętrzne kagańce, albo poprostu unicestwić, albo zastąpić je ich dodatnimi odpowiednikami. Dodatnie pogłębimy i ustalimy, dążąc do spótgowania ich mocy.

Zasadniczo do uczuć dodatnich zaliczymy cały zespół uczuć społecznych, wiodących do przyjaznego współżycia z ludźmi, a do uczuć ujemnych — uczucia antyspołeczne, z zastrzeżeniem jednak, że nie należy krańcowo przeciwstawiać egoizmowi altruizmu, gdyż wielu z poważnie dążących do doskonałości grzeszy niesprawiedliwością wobec swego własnego *ja*, któremu przecież należy się równouprawienie z *ja* innych ludzi. Miłość bliźniego wolno, a nawet trzeba zacząć od siebie samego, byleby jej na sobie samym nie skończyć.

Poza uczuciami, wyraźnie wchodzącymi w kolizję z etyką i uspołecznieniem, zdarzają się afekta raczej etycznie obojętne, nie przynoszące nikomu wyraźnej krzywdy, małostkowością jednak swoją lub pustotą dezagregujące wewnętrzne życie człowieka.

Te praktycznie jest obrać na pierwszy ogień w pracy nad sobą, gdyż te są mniej odporne.

Tylko do głębi przeprowadzona kultura uczuć, za które weźmiemy na się odpowiedzialność tak, jak za czyny, ich selekcja i nadanie uczuciom dodatnim ogromnej, nie waham się powiedzieć: cudownej mocy — przybliży nas do ideału, do którego dąży wszystko żyjące: do szczęścia. Tylko to szczęście oprze się nie o fata morgane zewnętrzných, przemijających spraw, nie na czemś, czy też na kimś — tylko na jądrze spokoju, które na dnie duszy własnej zdołamy ustrzec od zmacenia wśród życiowych fluktuacyj.

M. Benislawska.



# BRONCIA

Przywieziona ją ze wsi do Warszawy, jako skałę oporu przeciwko inwazji miejskich służących: kapeluszywych i torebkowych, a nie niewartych.

Gmina Latowicze — powiat Mińsk Mazowiecki. Oczy siwe i śmiałe. Brwi zrośnięte. Włosy orzechowego koloru, myte co miesiąc miłośnie w odwarze szyszek chmielu. Twarz śniadawa, rumiana o prostych, kształtnych rysach i dumnej, nasyconej bródce. Usta maleńkie, zęby ładne. Średni wzrost, a talja pełna wypukłości z przodu i z tyłu. Talja zuchwała, o ślicznie zakreślonych ramionach i szyi wysokiej, gładkiej, jak wazon do kwiatów ze szlachetnej porcelany. Ręce związane mocno, rdzawo brązowe, jak całe ciało. Nogi... A właśnie, nogi!... Sama opowiada ze śmiechem, że gdy wyskakuje z domu do sklepu, nasadziwszy w pośpiechu na gołe stopy czarne półbuciki, to ludzie „nic, tylko patrzą na jej łydki... A jak włoży pończochy, to już nikt nie patrzy“.

— Bo w pończochach, to łydki takie same blade, jak u tych „warszawianek“.

Broncia dumna jest ze swych czerwonych łydek, ochwytywanych oczami przechodniów. Wierzy najmocniej, choć podświadomie, że w nich jest jej siła, jak we włosach Samsona.

Ma lat dziewiętnaście, ale wygląda na więcej. Uroda jej surowa jest i dumna, zuchwała a odsuwająca, jak „odknaj, brachu“ nadwiślańskiego Antka.

Nie jest biedna — będzie miała parę mórg gruntu, tylko, że teraz jeszcze ojczym trzyma wszystko w ręku. Zachciało się jej popracować, zobaczyć Warszawę, mieć swoje pieniądze.

Jest bezwiednie brutalna, hałaśliwa, wesola i bardzo pracowita. Wyskakuje, rzecz można, naprzeciw każdej pracy:

— Ja lubię, jak jest dużo roboty — zwierza mi się przyjacielsko. Posoli czasem jedną i tę samą zupę dwa albo i trzy razy, ale to drobnostka.

Drugi już rok służy u swoich państwa i znana jest w kamienicy z urody i pracowitości.

Ta i owa pani mecenasowa, czy doktorowa z przeciwka, czy z pierwszego piętra, spotkawszy Broncię na podwórku, zatrzymuje ją dobrem słowem:

— Moje dziecko, czy ty czasem nie masz zamiaru zmienić służby?

Broncia wybucha śmiechem i przeczy.

— Ja lubię służyć długo na jednym miejscu...

— Ach! — odpowiada pani — jakbym ja chciała, żebyś ty u mnie długo posłużyła... Ty mi się podobasz, moje dziecko, bo ty nie nosisz kapelusza...

— A właśnie, że mam sobie kupić берет! — oznajmia dziewczyna z przyciężką figlarnością i pryska z kubłem węgla na schody, wiodące do kuchni.

Niewiadomo, dlaczego nie rzuca swoich państwa. Nie jest sentymentalna, a dostałaby pewnie z dziesięć złotych więcej miesięcznie. Może miałyby mniej roboty... ale nie wchodzi w układy.

W każdym razie, Broncia nie ma z pesymizmem nic wspólnego. Śmieje się głośno, radośnie ciska garnkami i pokruszyła dawno w kawały wszystkie wazonny do kwiatów. Lubi też śpiewać i wydzwania poprawnie swym kontraltowych głosem, nie tylko „pierwszą brygadę“, ale także i przeboje sezonu, wygrywane na fortepianie i wyśpiewywane w salonie przez pana porucznika.

Aż oto zdarza się pewnego dnia, że pan porucznik, brat pani, spojrzawszy poważnie w stronę Bronci w chwili, gdy podawała wazę na stół, zapytuje: — Czy Broncia jest panną?

Rzuciła mu ukośne spojrzenie, potem kwiknęła figlarnie i pobiegła do kuchni.

Ale gdy wnosi półmisek z pieczenią, oficer powtarza jeszcze raz:

— Czy Broncia jest panną?

Milczy przez chwilę, wreszcie rąbie bezapelacyjnie:

— Jestem panną.

— A no, to niech Broncia pośle swoją fotografię do „Expresu Porannego“, na konkurs piękności... Ja będę głosował, że to właśnie Broncia jest najładniejsza i że trzeba, żeby Broncia została miss Polonia...

Pani się śmieje. Panowie rozchmurzają zatroskane oblicza. Dzieci otwierają buzie ze zdziwienia. A Broncia?

Broncia oszalała.

Wydała szesnaście złotych na fotografię, trzy bez mała na fryzjera pięć na broszkę z brylantem... Posłała fotografię według wszelkich prawideł i, oczywiście, nie uzyskała nawet ostatniego miejsca w gronie sześćdziesięciu wybranych kandydatek.

Wieczorem wsuwa się cichaczem do mego pokoju, prosi o gazetę, przygląda się odbitkom główek kobiecych, przeznaczonych do konkursu, wreszcie mówi z goryczą:

— Proszę pani, i czyż choć jedna umywała się do mnie?

Żal mi ślicznej, głupiej dziewczuszki, ale odpowiadam twardo:

— Jest bardzo dużo ładniejszych od Bronci...

Wlepia we mnie zdumiony wzrok i wraca bez słowa do kuchni.

Chcę iść za nią, szukam najdelikatniejszych słów do przemylenia moralu, gdy nagle z tejże kuchni wypada, jak radosna fanfara: kontralto Bronci, a repertuar porucznika:

„salem alejkum, ja nie wiem sam...“

Cofam rękę, która już dotknęła klamki. Hinduskie przysłowie powiada: „Kiedy uczeń gotów — mistrz się zjawia...“ Nic tam po mnie.

Zasiadam przy stole, poprawiam nadwyreżony, zielony abażur lampy. Rozkładam książki: „Brandler-Pracht, Leo Allan, Oskar Schnitze...“

Zaczynam uprawiać mój teozoficzny ogródek.

S. Borowska.

## WIERSZE ZIMOWE

### PORANEK

Nasza droga codzienna, ulica, zniknie, jak fata morgana;  
Wyrosla przed nami w góre wysoka i groźna ściana  
Cofa się w głąb miarowo — lecz nie otwiera drogi,  
Nie mogą doścignąć muru słabe, zmęczone nogi.  
A jednak idziemy naprzód — we wietrze i mgle zatrutej,  
Mijając słupy wiorstowe — suche drewniane kikuty.

### ŚNIEG

Śnieg delikatny i miękki  
Można długo przekładać z ręki do ręki,  
Aż wycieknie pomiędzy palcami wąskim strumyczkiem wody  
I zastygnie na ziemi w błękitną bryłkę lodu.

### ODWILŻ

To przeszło ulicami mnóstwo czarnych ludzi —  
Świat od nich pociemniał,  
Śnieg się od nich zabrudził  
I rozlał się szeroko mętną wodą po ziemi  
Z żalości nad smutnymi i opuszczonymi.

### DZIEWCZYNKĄ Z ZAPAŁKAMI

W tę noc — noc z bajki —  
Szukałem Ciebie, dziewczynko, sprzedająca zapalki.  
Chciałem Cię ratować od śmierci, co czyha w pięknych marzeniach,  
Dlatego biegłem po mieście, drżąc z zimna, z rękami w kieszeniach,  
Ale drogę mi zastąpiła mgła ciężka i zastygła,  
A na oczy się posypały śnieżki — anielskie skrzydła.

### W TAMTEN WIECZÓR

Zielono jest w pokoju, a bialo jest na dworze.  
Po ulicy chodzi włóczęga — na chwilę spocząć nie może.  
Okienna szyba od ciepła i od uśmiechów taje.  
Za oknem obcy włóczęga wreszcie przystaje.  
Radość jodłowa pachnie w jasnym, weselnym pokoju.  
Włóczęga stoi w oknie i patrzy na szczęście — nieswoje.



# MUY INTERESSANTE (Y CURIOSO)

(opowieść hiszpańska)

## I.

Stał z boku przy drzwiach i nikt mu się nie wymknął. Nie mógł się wymknąć. Guia miał sześcioro dzieci. Po 20 peset na każde. A on, a Teresita? A jej babka? Dochował sobie babkę żoniną na teściową. Mieszkał w suterrenach Muzeum; chłód go orzeźwiał w lecie, w zimie ziąb maleńki przez kilka tygodni: wszystko za darmo, przy służbie.

Kto długo, całe lata przebywa w salach, pełnych obrazów, od dziesiątej rano do czwartej popołudniu — czuje się pokrzywdzony przez malarzy. Samo podnośzenie i spuszczenie rolet, odkurzanie płócien jest warte tych 120 peset miesięcznie.

Obrazy, płótna, gorsze od podszewki, poplamione olejem na tak zwane barwy. Don Pepo nie wierzył w obrazy. Na środku sali wisiała Madonna Greca. Dlaczego ją podziwiali? Że w talji mierzyła okrągło dwa metry długości? Mówili, że przez to była podobna do wydłużonego płomienia. Owszem, ale do siebie samej? Śmieli się: wtedy nie byłoby nic nadzwyczajnego. Donia Teresita nie różniła się w talji od innych kobiet: mieli sześcioro dzieci, po bożemu i po hiszpańsku. Dlaczego Nuestra Seniora nie miała mieć urody tłustawych hiszpanek? Oko nie zagrzało się na takim obrazie.

I to z całego świata zjeżdżali się ludzie podziwiać te obrazy. Trudno znaleźć większą pogardę od tej, jaką guia żywił dla zwiedzających Muzeum. Szczęściem, nie rozumiał ich wielojęzycznych zachwytów. Najwięcej zajmowały go trzewiki gości. Znał się na skórach, bo ojciec Don Pepa wyrabiał (póki żył) portmonetki, wszystkie z tej samej skóry króliczej, ale, zależnie od zaprawienia i barwy, nadawał jej, z wielkim znawstwem, wyszukane nazwy. Byłby Don Pepo najchętniej został limpiabotas, pucybutem ulicznym, gdyby Donia Teresita nie wolała go w mundurze gui.

Stał więc z boku przy drzwiach i po stuknięciu butów na schodach, wiodących na pierwsze piętro, gdzie była galerja obrazów, rozeznawał narodowość, pleć i ilość nadchodzących. Jeżeli cięższemu skrzypieniu towarzyszył szelest cieniuchnej podeszwy, zakończony, jak kropką, stuknięciem wysokiego korka, Don Pepo Pantoja Sanchez bezpiecznie wychodził naprzeciw: podróżujące pary nie opędzały się od gui. Ona z trudem kryła szacunek dla obywatela przybytku sztuki, prawie liczyła go za okaz muzealny i w pamiętniku chciała mieć zapisanych kilka słów rozmowy z przewodnikiem, rodowitym hiszpanem (bardzo zgrabni, czyści, wspaniałe głowy, śmiali, ale o wiele dyskretniejsi od włochów). On przygotował się w domu z przewodnika drukowanego, ale nie miał pewności, czy nie zmieniono porządku obrazów (zmieniają ustawicznie, ażeby we własnym zarządzie wydawać nowe przewodniki).

Guia pozdrawiał przybyłych i zaczynał: *Este salon es muy interesante*. Jeżeli tymczasem nadszedł nowy gość, dodawał: *y curioso* (ażeby i drugi zaznał dreszczu ciekawości). O ile nikt nie nadchodził, Don Pepo zadowalał się stwierdzeniem, że wszystko przedstawiono ostatniego miesiąca i pysznym ruchem ręki uchylał przewodnik, którym On próbował zrazu zastawić się przed guią. Potem odczytywał kolejno podpisy obrazów i wzruszał ramionami; ten ruch, bardzo wdzięczny, zastępował mu znajomość obcych języków. Czasem rzucał: *very beautiful*, bo turystom podobało się, że brał ich za amerykańków (Ona kupiła Mu nawet

okulary w rogowej oprawie, bo to ułatwia niejedno w podróży). Pesetę przyjmował i po chwili rzucał ją o marmurową taflę posadzki, aby poznać po dźwięku, czy srebro prawdziwe.

Donię Teresitę bawił wieczorem podrwinkami z turystów. Zadzierał głowę i zakładał ręce za plecy, cofał się: *muy interesante*. To turysta frazą Don Pepa udzielał mu swego zachwytu nad portretem pendzla Goi. Zachwyt wyblyskiwał natychmiast po przeczytaniu podpisu pod obrazem. Don Pepo nie dałby się Goi portretować.

Donia Teresita smażyła tymczasem rybę. Codziennie słyszała to samo. Nie wyszła zamaż za Don Hernanda Munieza Gutierrezza i na co jej wyszło: Gutierrez wrócił z Brazylii i hotel założył przy Plaza de San Lorenzo. Ano, odmówi litanję, aby przynajmniej dali podwyżkę służbie muzealnej.

Koło jedenastej wieczorem zwoływała dzieci z ulicy do łóżek, opatrywała im guzy i, na upomnienie, przydawała nowe. Przez ten czas Karmen, najstarsza z przychówku muzealnego, szeptała przez zakratowane okienko z Miguelem, młodym pomocnikiem ojca, narazie od wiader, miotel i nieartystycznej roboty; ale i tak subtelny był i i kwiat tuberozy nosił za uchem. Klęczał na bruku i ustami zwiślał ku kracie, w połowie wystającej nad chodnik.

Don Pepo dziubał rybę widelcem. Skończył zwykłą pogawędkę z donią Teresitą. Nie było z nią o czym mówić, nawet walki z bykami jej nie zajmowały. Pytała go czasem o obrazy. To mu obmierzło. Dostyć przez dzień objaśniał w Muzeum, a z domowego gaudania jaki dochód?

Po zamknięciu Muzeum kręcił się koło hotelu Gutierrezza, nie żeby posady szukał, ale ciekawość go zebrała, jak to w Brazylii robi się majątek.

Gutierrez zaciągał karty zgłoszeń gości do księgi hotelowej. Powtarzał sobie półgłosem, co pisał. Ostrożnością dobił się majątku i to już mu zostało w zwyczaju: żyć w zgodzie z policją. W Brazylii utrzymywał tajny (przez ostrożność) dom gry i, w czym był cały dowcip, tylko dla członków policji. Dlatego nigdy go nie nakryli. Don Pepo z przekonaniem słuchał zwierzeń hotelarza. Tylko: w czymby ostrożnym się okazać, gdy się pilnuje obrazów Muzeum?

Gutierrez nie powiedział mu tego. Sylabizował zwolna: *Ja-co-mo Ca-ra-ju-an Zu-pi-tos*, artysta-malarz, z Rio-Janeiro. — Don Pepo znał to nazwisko: widniało na podpisie jednego z obrazów w sali, gdzie tkwił codziennie. Przez nowo nabytą ostrożność nie powiedział.

Gutierrez pytał tymczasem, ciągle pisząc, o zdrowie rodziny Pepa. Don Pepo potwierdził, że dzieci zdrowo się chowają. Tamten czekał. Don Pepo nie lubił milczenia; przypominało mu Muzeum. Więc i donię Teresitę pochwalił, że rybę smacznie przyprawia i litanję z pamięci śpiewa.

— A pieniędzy wam nie brakuje?

— Nie! Dziwnie wystarcza. Goście dają napiwki.

— I to wystarcza? A to Karmen zausznice dostała na Bierzmowanie!

— Zausznice? — Don Pepo od dłuższego stania na sali, pełnej obrazów, przywykł nie dostrzegać niczego.

Gutierrez zamknął książkę i rzucił na półkę.

— A może mi się przywidziało!

— Widzieliście ją?  
— Chyba, że gdzieś ją widziałem.  
— Prawda, mówią, że na tańce chadzacie, boście kawaler i brazylijski bogacz.  
— Może i tańczę, czy ja wiem? A o bogactwie szkoda mówić: tyle wiem, że podatki płacę.

Wiadomo, ostrożny był. Dobrą noc sobie powie- dzieli i Don Pepo wrócił do domu. I teraz przypatry- wał się zausznicom w uszach córki. Pięknie błyszczą- ły, gdy pochylała głowę ku kracie. Ale nie zagadnął jej o nie, bo na ostrożności można zrobić majątek.

Wynieśli z Teresitą krzeselka przed dom i zaży- wali chłodu do północy. A Karmen ciągle szeptała z Miguelem.

## II.

Wiedział, że malarz przyjdzie odwiedzić swój obraz. Dlaczego? Kto z Rio przybywa do Sewilli, a ma tam coś drogiego? Don Pepo domyślał się, że malarze kochają swoje obrazy. Pocóżby malowali takie dzi- wactwa? Tak ojciec przywiązuje się do dziecka, jakie mu się przygodzi. Niema rozumowania na takie sprawy.

Zdziwiło go, kiedy znalazł się twarzą w twarz z przybyszem. Nie słyszał kroków na schodach, on, który przez dwadzieścia lat uchem wysługiwał się w łowieniu gości. Żaden ślepiec nie poszczyciłby się takim słuchem. A Don Pepo nadto widział: gości, nie obrazy. Był sobie ślepcem w galerji obrazów, dlatego dostrzegał zwiedzających. Dostrzegł też przybysza i rzucił okiem na jego obuwie. Ocenił malarza na pół pesety. Ale i tak postanowił go przywitać.

— *Este salon es muy interesante...*

Przybysz zdawał się potakiwać. Schody zaście- łała cisza. Nikt nie zdążył po resztę frazy powitalnej. Don Pepo zmarnował dwa dalsze słowa.

— *Y curioso.*

— Dla was, senior?

Don Pepo uraził się. Cóż obrazy obchodzą prze- wodnika? Ale zawód gui wymaga uprzejmości.

— Przedewszystkiem dla seniora. Senior jest ma- larzem!

— *Hombre, kto ci powiedział?*

— Czyż nie znamy naszych artystów? Obraz pański tak wszystkich zajmuje, że domagają się pań- skiego portretu. Wyprzedaliśmy wszystkie widoków- ki z podobizną seniora, ale ja pamiętam, hoho! — Tak go prowadził ku obrazowi, zmyślając przez ostrożność.

Zupitos zdjął sombrero. Łysy, niziutki staruszek. Bródka żółtawa od nikotyny. Kolana goniące w spod- niach. Oczy bez wyrazu, w ucieczce przed cudzem spojrzeniem. Słowem — nic. I to malarz!

Stali tak chwilę i Don Pepo ruszył ku następne- mu obrazowi. Nic dziwnego. Przez dwadzieścia lat przechodził z gośćmi od obrazu do obrazu.

Zupitos pozostał w miejscu, jak stał, przed obra- zem: własnym. Don Pepo wrócił ku niemu, trochę bez- radnie. Wypadało czekać.

Malarz wpatrywał się w swoje płótno. Przez uprzejmość Don Pepo spojrział także na obraz, po raz pierwszy od dwudziestu lat. Zwykle zostawiał to zwie- dzającym. Uczynił to bez wprawy, ale i tak dostrzegł, co obraz przedstawiał.

Na staroświeckiej kanapce, wyświechtanej, z sze- roką ramą wiśniową, stoczoną przez korniki, siedziała para ludzi, szarych, zwyczajnych. Przed nimi tło

obrazu gorzało jaskrawą poświatą, widocznie świecy, zreztą niewidocznej. To wszystko. Nie było na co pa- trzeć tak długo. Co innego tych dwoje. Tak byli nama- lowani, żeby patrzyli przed siebie. Ale zwiedzających czekał pociąg, hotel, śniadanie, inne zabytki sewilskie. A ten stał i nie odchodził.

Don Pepo spojrział znowu na malarza i zdziwił się (zdarzało mu się to rzadko: kiedy Teresita inaczej groszek przyprawiała, niż zwykle, albo kiedy które z dzieci wróciło bez guza do łóżka i nie słychać było łażań wieczornych). Zupitos był trochę podobny do mężczyzny na obrazie. Niewiele. Tamten zastygł w po- sępnej nieruchomości (pierwszy raz Don Pepo to zau- ważył), a twarz Zupitosa nie wyrażała niczego: ani smutku, ani zadowolenia. Mógł w tej chwili domagać się biletu w tramwaju lub czekać na swą kolej przed lawabo ulicznym. Taki był nijaki i podobny do kogo- bądź. Mężczyzna na obrazie liczył jakich trzydzieści pięć lat, gdy Zupitos przegonił sześćdziesiątkę tym nie- słyszalnym krokiem, jakim wszedł po schodach ga- lerijskiej. A jak niedbale ubrany! W Hiszpanji mężczyźni ubierają się staranniej od kobiet. I na obrazie mę- czyzna dogadzał modzie hiszpańskiej. Towarzyszka, maleńka, czarna kobiecina, ginęła w objęciu jego ra- mienia. Może i była ładna, ale zaczerwienione powie- ki raniły twarz, dosyć pełną, o czole białem i wypu- kłym. I to już wcześniej Don Pepo zauważył. Ale są- dził, że blask świecy, niewidzialnej (to go złościło), po- czerwienił jej powieki. Teraz, patrząc dłużej w obraz, domyślił się nagle, że kobieta musiała wiele godzin przepłakać. Może malarz nie chciał odtworzyć łez, mo- że nie umiał (bo dlaczego nie starał się o większą wy- razistość?), może i łzy wyschły w oczach nieszczęśli- wej. Tak, zapewne spotkało ją nieszczęście. I mężczy- zna także miał chyba to samo zmartwienie.

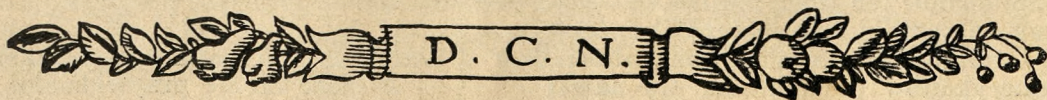
Don Pepo zastanowił się z kolei, na co oboje pa- trzyli. Na świecę? W jakim celu? I dlaczego, z takim smutkiem? Dyrektor galerji opowiadał mu raz, że ma- larze nie zawsze wybierają tematy ważne. Czasem starają się jedynie oddać refleks światła, powierzch- nię naświetloną w sposób, odmieniający jej zwykły wygląd. Albo usuwają z obrazu przedmiot, a zostawia- ją sam odbłask lub cień jego. Podobnie bywa na kra- jobrazach i tak dalej. Dyrektor machnął ręką z iryta- cją, bo nie rozumiał, dlaczego mówi o tem do Don Pe- pa. — Zaczynam na głos myśleć w tem głupim oto- czeniu. — Postanowił nie dać podwyżki Don Pepowi. Inny dozorca byłby przytoczył dalszy ciąg wypadku z katalogu galerji, pióra dyrektora. Ale Don Pepo, mi- mo napomnień doni Teresity, nie umiał katalogu na pamięć. I to mu zaszkodziło.

Stojąc obok Zupitosa, zapatrzył się w obraz (z wi- ny malarza) i przyszło mu na myśl, że tamci dwoje chyba nie w świecę wpatrywali się z takim smutkiem. Blask światła słabo dochodził do ich twarzy, ledwo w rogu płótna zostawiając plamę bladą i nadgryzioną przez czerń reszty tła.

— Pan musiał nie podać objaśnienia do katalo- gu, bo napisano: „Dwoje patrzących“. Prawda, obja- śnienie banalne?

— Pochodzi odemnie. Było przyklejone na grzbie- cie płótna. Obraz zostawiłem w składzie mebli, bo wnet potem opuściliśmy Hiszpanję. Wasz dyrektor pewno go wykrył w magazynie i dostał za darmo, sko- ro nikt się nie zgłaszał.

A. — J. Kowalscy.



# MINIATUROWA AMBASADA\*)

Nie spełniła się przepowiednia Adama Mickiewicza, który pragnął, aby nawiązując do tradycji miniaturowej ambasady polskiej za czasów emigracyjnych, ambasada wolnego Państwa Polskiego również mieściła się w Hotelu Lambert.

Nawet gdyby ks. Czartoryski odstąpił na ten cel swój pałac, próba nawiązania do przeszłości okazałaby się niemożliwą ze względów technicznych.

Amabasada dawniej — to serce, zapal i dobra rada; ambasada dziś — to gabinety radców, biegle stenografki i wciąż dzwoniący telefon.

Dawniej propaganda sama się robiła, dziś potrzebne są do tego biura, pełne urzędników; dawniej francuzi pisali o nas za przyjaźni i chlubę, dziś — za pieniądze i śniadania.

Cóż więc dziwnego, że wówczas ambasada zmieściłaby się nawet mogła w małej klatce piersiowej, gdy obecnie wymaga wielopiętrowego gmachu, stojącego w centrum nowego miasta, niedaleko innych ambasad. Wówczas ukryć się mogła w kolebce Paryża, opasanej błękitną wstęgą Sekwany, wśród fontan, w bluszczowitych, wśród żyjących kamieni, na wyspie poetów, filozofów i wielkich amoureses. Nie wstydziła się sąsiedztwa klubu haszyszystów, ani przeszłości pani Chatelet, Wenus-Newton, przyjaciółki Woltera.

\*

\* \*

„Na Emigracji jest Hotel Lambert i są przedpo-

koje“.

W tej miniaturowej ambasadzie Lamberciści prowadzą swoją własną wobec Europy, Polski i Emigracji politykę. Tu bowiem mieszkała nieoficjalna dynastia polska. Jeszcze w roku 1882, książe Władysław, zaślubiając księżniczkę Orleańską, zastrzegł sobie wolną rękę na wypadek, gdyby interesa nowej rodziny stały w sprzeczności z interesami kraju.

Książe Adam, myśląc o swej królewskiej koronie — myślał przede wszystkim o swym narodzie. Za życia sił wszelkich dokładał, aby wyzwolenie Polski wcześniej nastąpiło, niż „piaski Mazowieckie wydadzą gaje palmowe“. Umierając w chwili wybuchu powstania, zaniósł do grobu przekonanie, że w końcu „na szali sprawiedliwości Bożej i miłosierdzia bez granic“ — cnota i wiara zwyciężą.

Jakkolwiek nie brak było takich, którzy Hotelowi Lambert zarzucali „arystokratyczne milczenie“ i sarkali na jego „arystokratyczną bezczynność“, jednak Księstwo w ciągu lat wielu starali się ulżyć doli współbraci. Tu rodziły się plany dzieł i wydawnictw, tu powstawały instytucje, dobro ogólne mające na celu, tu stworzono i tu istniał przez pół przeszło wieku Instytut Panien Polskich.

W zakładzie tym literaturę ojczystą wykladał Wacław Gasztowt, a w niedziele i czwartki przeznaczony Józef Rusteyko przychodził odwiedzać te sierotki, które przez nikogo nie były odwiedzane. Żyje jeszcze ich ostatnia przewodniczka i dyrektorka, palmami akademickimi ozdobiona, miła staruszka, panna Glau-din. Rola jej się zmieniła: dziś stała się opiekunką do-

mu Książąt Czartoryskich, strażniczką ich mienia i chwały, francuskim Gerwazym. Ale zawsze jeszcze myśli kategorjami swych poprzednich zajęć.

Skoro odwiedzi ją dawna uczennica, odbywa z nią po połacu dawną wędrówkę, pytaniami badając, czy wśród światowego życia nie zapomniała pensjonarskich czasów.

Zatrzymały się na podwórzu, niegdyś służącym za letni salon, gdzie odbywały się słynne zabawy dobroczynne, tombole, wenty, loterje fantowe. We wnętrzu pod schodami, ozdobionymi freskami Le Sueur'a, podawano chłodniki. Przez całą długość ulicy St-Louis-en-l'Île stał szereg pojazdów, zaprzężonych à la Daumont.

— Wracamy z Sorbony, dokąd teraz idziemy?

Ze swego drugiego pięterka dziewczęta polskie udawały się na wykłady do Sorbony i tam świetnie składały egzamina. Ta część gmachu, którą niegdyś zamieszkiwały, dziś oddzielona od całości, zamieniona została na kamienicę dochodową. Wycieczka w krainę pamiątek rychło się więc skończyła. Ale panna Glau-din jeszcze się jej nie wyrzeka:

— Idziemy na górę. Do Księżnej Izzy.

Pannie Glau-din miesza się pamięć lat i wspomnienia rzeczy widzianych z rzeczami, znanymi z opowiadań — te ostatnie bardziej może jeszcze żywe:

— Wielkie, marmurowe schody, po których wchodzimy, były wspaniałą galerją obrazów. Potem przewieziono ją do Krakowa. Na drugim piętrze, pod



„Hôtel Lambert“ — miedzioryt Wilka-Osseckiego.

\*) Wyjątek z książki: „W mieście świata polskie ścieżki“ — mającej się wkrótce ukazać w luksusowym wydaniu z miedziorytami Wilka Osseckiego.

sklepieniem, jak korona, na małym niby balkoniku. Księżstwo witali gości. Stąd idzie się do Śali Balowej, zwanej Galerją Herkulesa, pokrytej freskami Le Brun. Nie powstydzilyby się ich królewskie pałace.

Pułap i ściany ozdobione malowidłami, przedstawiającymi bohaterskie czyny małżonka Dejaniry. Książę Adam spolszczył poczęści tę salę. Z wielkiej liczby stiukowych amorków na ścianach usunął dwa, a na ich miejsce wmurować kazał ukoronowane orły polskie, z rozpiętymi skrzydłami, mocujące się do lotu...

Przy odrzwiach, wśród dębowych, rzeźbionych kolumn, stoją dwie, ponsowym aksamitem powleczone, srebrnymi ćwiekami nabijane halabardy. U szczytu ozdobione orzełkami.

— Majordomus, w kolorowym fraku, w kapeluszu z piórami bierze jedną z nich do ręki, aby biesiadnikom wskazać miejsca przy stole. A tu obok mała jadalnia; na tym fotelu siadywała zawsze dobroczynna pani moja... Chodźmy do niej...

Pielgrzymkę tę wychowawczyni i wychowanka odbywają ze smutkiem.

Staruszka ciężko wzdycha i opiera się o poręcz fotela. Mówi już tylko do siebie, z pokorną dumą, jak mówiła życie całe:

— Je suis utile aux riches pour servir les pauvres.

Wychowanka jej nie słucha.

W jasnych młodziutkich oczach, Księżna Działyńska zawsze wydawała się być starą i tak poważną, że jej żadnego wiosennego smutku powierzyć było nie podobna.

Słucha wspomnień własnej pamięci... Wierszyka, napisanego do niej na laurce imieninowej, przez towarzyszkę pierwszych życiowych niedoli:

Wśród szarych murów starego hotelu  
My z sobą dzielim i lzy i tęsknotę...  
Lecz pośród naszych koleżanek wielu  
Nad wszystkie jedną przenosim istotę.  
Bo ta istota jasnowłosa, miła,  
Choć sama wie już, co smutek i troska,  
Innych pociesza, ile starczy siła.  
Zgadnijcie, kto to? To J... L...wska.

Małe arcydziełko polskiej poezji pensjonarskiej, która dziś już może nie kwitnie, a jeżeli nawet dalej się rozwija, to inne bierze tematy, niż „lzy i tęsknotę“, „smutek i troskę“...

Wolno wracają znów do Galerji Herkulesa.

— Tu odbywało się święcone dla Emigracji.

Święcił arcybiskup paryski w otoczeniu duchowieństwa polskiego. Obok Polaków spożywali je bratnie narody. Jajkiem dzielono się z Serbami i Bułgarami, do stołu zasiadali w czerwonych fezach Turcy, którzy nigdy rozbioru Polski nie uznali. Z Emigracji byli tu wielcy i mali, cały „naród w żałobie“ brał udział w tej dorocznej uroczystości, zawsze w nadziei,

że to ostatnia na tułaczce Wielkanoc. Tak Mistrz Towiański powiadał...

Każdy stół, uginający się pod pięknym nakryciem, suto jadłem, miał swą oddzielną gospodynię, dbającą o to, żeby wszyscy pili i bawili się wesoło. Szły potrawy za potrawami; u Księżstwa nawet na balach, obok przysmaków kuchni francuskiej były polskie dania, w czasie zaś Wielkanocy zjawiały się jedynie nasze mięsa i nasze ciasta. Menu nie było jednak w zgodzie z tradycjami narodowymi. Dawano barszcz, kołduny, zrazy zawijane (zupełnie takie, jak u babci Słowackiego), naleśniki z konfiturami. Ale bab nie było.

„O baby! tych już na całym świecie nie znają. Bab nie było, bo tutejszym biskupowym ciastom tego nazwiska dać nie mogę“ — skarży się w liście do matki autor Balladyny i tak kończy opis Wielkanocy w Hotelu Lambert: „I powtarzam, niepodobne to było do Święconego, bo nie było nawet w salonie tego zapachu, który jest właściwy naszemu Święconemu, a który tak lubię: ten zapach nieopisany, niepojęty, rzekłbyś, że zapach święconej wody, pomieszany z emanacją bab, barwinku, jajek, baranków — zapach, który mnie ściga, jak sen lat dzieciennych“.

— Na tym fortepianie grywał Chopin i księżna Marcelina...

W dzień Wielkiejnocy, do tego samego fortepianu, na którym improwizował twórca „Preludjów“, którego poźółkłych dziś klawiszy dotykała jego najlepsza uczennica, nieraz ktoś zasiadał, żeby zagrać mazurka.

— Czy pozwoli panna Krysia? — dawny ułan pyta.

Na tle złotem migocących brokatów, w świetle świec woskowych, rzeświście świecących w srebrnych bukietach kwiatów, jaśniały barwne plamy mundurów, obok kontusika ciemna czamarka, dama w lokach w sukni, z ramion spadającej, z uśmiechem zbliżająca się do mistrza tonów, najwykwintniejszego dandy, w nieposzlakowanym fracku, w perłowego koloru spodniach ze sprzączkami.

Po lśniącym pawimencie leci para w tańcu...

A potem odpoczywa na balkonie, patrząc na brzegi, wyściełane zieleniejącą już murawą, na rzekę, wokół pałacu płynącą, wiosennymi wodami wzburzoną. Na ogród wiszący, jak w Babilonie.

On jej szepce, a ona słucha:

Dwa serca złączone,  
Klucz rzucony w morze —  
Nikt nas nie rozłączy,  
Tylko Ty, o Boże!

Bo dziewczęta wszędzie są takie same, naiwnie w przysięgi wierzące — nad Wisłą, czy nad Sekwaną. Dawniej, jak i dziś.

Choć może dziś już nie wierzą, bo dziś nikt nie przysięga.

Aura Wyleżyńska.





# SALON LISTOPADOWY U BARYCZKÓW

Fakt, że Instytut Propagandy Sztuki Polskiej uczcił stulecie walk listopadowych wystawą współczesnych, i to po większej części najżywszych, najsilniej reagujących na aktualność, artystów — ten fakt posiada specjalne znaczenie. Jeżeli bowiem z jednej strony zwrócimy się niewątpliwie z uznaniem i pietyzmem w stronę każdej pamiątki, każdego spłowiałego strzępka przeszłości (z niecierpliwością oczekujemy otwarcia przez Muzeum Narodowe warszawskie pełnej retrospektywnej wystawy malarskiej, zdobniczej i wojskowej z lat trzydziestych ubiegłego stulecia) — to przecież dzieło dnia dzisiejszego, bezpośrednio samem swem powstaniem uzmysławiające ciągłość życia kulturalnego, trwałość soków, krążących w społecznym organizmie, musi wydać się nam bodajże radośniejszym i, być może, bardziej wymownym hołdem dla tych milczących grobów. Niewątpliwie, bohaterowie powstania listopadowego nie zrozumieliby nic a nic z modernizmu XX wieku. Ale to nic nie szkodzi. Wielu z nich, i to najczciodszych, mogłoby chyba powtórzyć za Słowackim: „Miałem tę pokorę, żem żadnego nie kłął ruchu...” Salon u Baryczków obeszali malarze niemal z całego kraju, ze wszystkich prawie ugrupowań i odłamów plastycznych. Jest to ogromną zasługą organizatorów i jury, że potrafili tak doskonale utrzymać proporcje, w których wypowiada się wola artystyczna krańcowo odległych obozów. Śmiało rzec można, że jest to pierwszy bodaj w Polsce Niepodległej salon na tak wielką skalę, na którego podstawie nieświadomiony obserwator istotnie nabrać może bezstronnego wyobrażenia o ruchu plastycznym w Polsce.



Jarocki Władysław: „Dziwny włóczęga“.

Ściślej mówiąc, tylko o ruchu malarskim. Rzeźba bowiem reprezentowana jest dość skromnie, nieliczne okazy grafiki wiszą dość niekorzystnie w korytarzu, a sztuka dekoracyjna, poza tkaninami i kilimami „Ładu“, wogóle świeci nieobecnością.

„Prawicę“ malarską reprezentują tu obrazy krakowskiej „Sztuki“ oraz kilku przedstawicieli starszego pokolenia artystów warszawskich. O ile obrazy grupy krakowskiej charakteryzuje impresjonistyczne, względnie bezpośrednio post-impresjonistyczne podejście do rzeczywistości i płaszczyzny obrazu, a w związku z tem, żywe zainteresowanie problemami kolorystycznymi — o tyle artystyczna „konserwa“ stolicy stoi wciąż jeszcze na stanowisku przedimpresjonistycznym, interesując się przede wszystkim realistycznym podobieństwem plastycznego wyobrażenia i obiektu malowanego. Zagadnienia formalne schodzą przeważnie w tym wypadku na plan dalszy. Charakterystyczny jest pod tym względem solidny — możnaby rzec, akademicki — portret Marsz. Daszyńskiego przez Henryka Grombeckiego.

Kędziński, malarz starszego pokolenia, zdradza niewątpliwie najrzetelniejszy stosunek do swej pracy, a jego realizm wspiera się na dużym poczuciu autonomii płaszczyzn barwnych i niezaprzeczonej kulturze. „Krakowianie“ — Pautsch, Jarocki — kontynuują konsekwentnie dotychczasową linię swej twórczości. Wojciecha Weissa, jedyne bodaj z członków „Sztuki“, niepodobna zaliczyć do „starszych“. Niezwykła świeżość jego kolorytu, ciepło i wibracja tonów, a z drugiej strony nieomylny instynkt przy zestawianiu i plasowaniu odrębnych walorów barwnych — pozwalają mówić o jego „młodym“ i „dzisiejszym“ stosunku do rzeczywistości malarskiej.

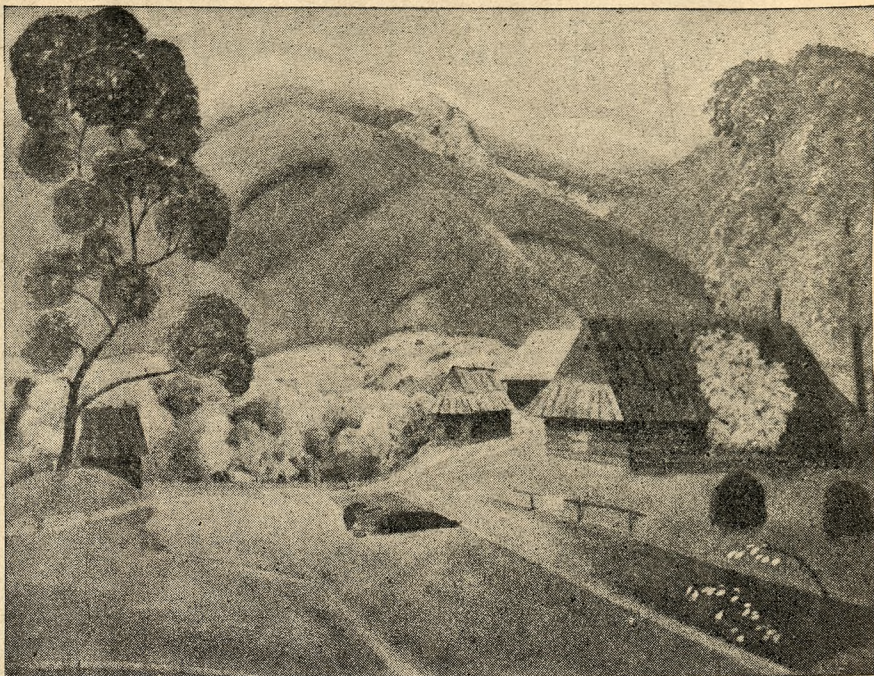
Centrum, z wyraźnym odchyleniem ku prawej ręce, stanowi „Rytm“. „Rytm“, różniąc się gwał-



Boruciński Michał: „Letni wieczór“.

townie od „Sztuki“ krakowskiej w traktowaniu kształtu plastycznego oraz w podnoszeniu walorów dekoracyjnych płaszczyzny obrazu, nie uwzględnia w takim stopniu, jak najnowsze kierunki malarzkie, kwestyj faktury i, płynących z jej pogłębienia, konsekwencji w stosunku do całej budowy obrazu. *Prof. Skoczylas*, który nadesłał swoje prace „hors concours“, sprawił przemiłą niespodziankę barwnym, świeżym „Jarmarkiem“, interesującym ze względu na swą kompozycję kolorystyczną (w dziale graficznym tym razem Skoczylas nie wystawia). *Borowski*, *Roguski*, *Boruciński* podtrzymują naszą dotychczasową o swojej twórczości opinię. *Wąsowicz* natomiast daleko odszedł od swych początkowych założeń; jego obecne poszukiwania kolorystyczne doprowadzają w rezultacie do dzieł niezupełnie może jeszcze skryształizowanych w swym „credo“ artystycznym, ale pełnych finezji i subtelności, jak owa „martwa natura“ z bukietem.

Cały szereg młodych, przeważnie na wysokim poziomie stojących artystów prezentuje nam na tej platformie swe poczynania. Więc starzy „formiści“ — *Czyżewski* (bardzo interesująca martwa natura z koniem drewnianym), *Zalowski*, *Zaruba*; a więc *Tomorowicz* ze swymi jednolitymi, ciepłymi w kolorycie pejzażami; *Pękalski* ze swem ciekawem, jakkolwiek może niezupełnie w jaskrawości kolorystycznej umotywowanem, studjum kobiecem; więc bardzo zharmonizowany *Kowarski*, którego pejzaż ze złamanem drzewem możnaby niemal uważać za klasyczny wzór równoważenia przy pozornej dysharmonji „jasnego“ i „ciemnego“; więc *Rafałowski*, mocny w wyrazie i specjalnie interesujący ze względu na swą fakturę; *Waliszewski*, *Malicki Adam* i tylu innych, których niepodobna poprostu wyliczyć w krótkiej recenzji. Nie można jednak pominąć milczeniem dwóch braci *Seidenbeutel*, wychowanków warszawskiej szkoły Sztuk Pięknych, z których jeden zwłaszcza w martwej natu-



Malczewski Rafał: „Jesień“.

rze z jabłkami okazał się poprostu wirtuozem w operowaniu i harmonizowaniu białych i jasnych tonów.

Zupełnie na boku należałoby postawić *Rafała Malczewskiego*, którego „Miasteczko“ i „Październik“ zdradzają odrębne, swoiste spojrzenie na świat — jakby uwolnione od wszystkich tradycyjnych „zobowiązań“ i szablonów.

Ale gdzież zaliczyć, gdzież wtłoczyć, kipiące nadmiarem wewnętrznej energii, wibrujące dumnie, własnym, nonszalanckim wobec całego świata, „kolorowym“ życiem — obrazy *Romualda Witkowskiego*?

*Stażewski*, *Strzeziński*, *Malicki Marjan*, *Łunkiewiczowa* — to na wystawie u Baryczków przedstawiciele tych najbardziej skrajnych. *Stażewski*, malarz niezwykle kulturalny, tkwi wiecznie przy swem zasadniczym założeniu: budowy obrazu z bezprzedmiotowych elementów — płaszczyzn barwnych. *Strzeziński* szuka efektów fakturowych przez plastyczne kształtowanie pewnych partij płaskiej pozątem powierzchni. Również na momenty fakturowe akcent kładzie *Malicki*. *Łunkiewiczowa* w swej purystycznej kompozycji operuje kolorami dyskretnymi — szaro-brunatnymi.

Wśród rzeźb wybijają się, oczywiście, na pierwszy plan rzeźby *Kuny*, z których zwłaszcza „Różowy marmur“ uznać można za klasyczny w swej pięknej harmonji i miękkości linii, oraz w uroczej karnacji. Wybijają się jeszcze dość mocny i syntetyczny „Jan Kochanowski“ *Pietkiewicz*.

Interesujący jest fragment z pomnika *Bogusławskiego* — *Szczepkowskiego*, stylizowany, możnaby rzec — nowocześnie archaizowany.

Z nielicznych grafik zwracają przede wszystkim uwagę prace *Krasnodębskiej-Gardowskiej*, *Konarskiej* i świetne w technice drzeworytu *Mrożewskiego*.

I. j.



Kowarski Felicjan: „Pejzaż“.

# Z TEATRÓW

TEATR MAŁY.

„Lekkomyślna siostra“ — komedia w 4 aktach Włodzimierza Perzyńskiego. Reżyserja Stan. Stanisławskiego. Dekoracje Karola Frycza.

„Lekkomyślna siostra“ nie jest może najlepszą komedią Perzyńskiego, ale najbardziej charakterystyczną dla pierwszego bojowego okresu jego twórczości.

Młody debiutant wtargnął na scenę z całą furją oburzenia, jakie w nim wywołała mieszczańska hipokryzja t. zw. porządnych rodzin i w tej furji zapamiętał się aż do... zaślepienia. Chłuszcząc „rodzinkę“, wyidealizował nadmiernie „lekkomyślną“ siostrunię, która może ma najlepsze chęci, ale w gruncie rzeczy jest pasożytem, niebezpieczną naroślą na organizmie społecznym i w ten lub inny sposób musi być... zoperowana. Chodzi o to, żeby operacja była dokonana bezboleśnie i z pomyślnym rezultatem dla obydwu stron. Wiadomo, że żalujące Magdaleny znacznie mniej znajdują zrozumienia i aplauzu od triumfujących, choćby najbardziej zepsutych Messalin, może dlatego, że te pierwsze ogłaszają, bądź co bądź, bankructwo, a świat nie lubi bankrutów.

Inna sprawa, że stosunek towarzyski do „marnotrawnych córek“ i „lekkomyślnych sióstr“ radykalnie się zmienił, niekoniecznie z pobudek chrześcijańskiej wyrozumiałości i przebaczenia, ale raczej z powodu zubożenia opinii na sprawy etyki seksualnej. Sytuacje, przedstawione w „Lekkomyślnej siostrze“, należą dziś do przedwojennych anachronizmów. Czy to ma znaczyć, że świat jest lepszy? Nie — tylko jest inny.

Sztuka miała świetną obsadę. Przybyłko-Potocka puściła w ruch wszystkie efekty mieszczańskiej hysterji i hipokryzji. Stanisławski w podwójnej roli — reżysera i aktora — był pełen roztropności i umiaru. Mira Zimińska szczęśliwie uniknęła szarży w roli starej panny. Modzelewska swym wrodzonym wdziękiem przełamała trudności, piętząc się w niezupełnie naturalnej sylwetce „lekkomyślnej siostry“. Daczyński był doskonałym mężem-niedołęgą.

S. P. O.



Teatr Mały: „Lekkomyślna siostra“. Marja Przybyłko-Potocka i Grabowski.

TEATR LETNI.

„Pani ministrowa“ — komedia w 5 aktach Grzymały-Siedleckiego.

Nieprawa wnuczka nieśmiertelnej „Madame Sans Gène“ Sardou, przeniesiona w nowoczesne stosunki ustroju demokratycznego. To nielegalne pochodzenie zemściło się na „Pani ministrowej“. Niedobrze, gdy autor krotchwili jest zanadto „oczytany“, za dobrze wie, jak trzeba pisać dla sceny, i zanadto daje to odczuć widzowi, który ani rusz nie może uwierzyć, że to tak jest naprawdę.

Pomysł przeciwstawienia zdrowej chłopskiej natury, chłopskiego rozumu i prostej, zdrowej moralności wykrętnej etyce ministerjalnej i dyplomatycznej — zasadniczo bardzo szczęśliwy; ale, na miły Bóg! co z tego pomysłu zrobiła „Pani ministrowa“! Karykaturę komedji, w której ani jedna postać, prócz tytułowej, nie ma własnej twarzy. Po scenie chodzą szablony ludzi w sztucznych maskach, jakie starali się im wcisnąć aktorzy.

Sytuacje nienaturalne, „ciągnięte za włosy“, nie wzbudzające cienia wiary w ich prawdopodobieństwo. Krotchwila, która jest śmieszna, ale ani przez jedną chwilę nie jest dowcipna. Antyteza Slonimskiego, który w ponurym nastroju sypie dowcipami, jak z rękawa; Siedlecki jest wesoły, śmieje się, ale tylko sam. Jego koncepty spalają na panewce, nie wywołują echa, bo nie mają perspektywy. Jego humor jest zbyt wątlemi nicmi związany z aktualnością. Aluzje polityczne mają lukrecjowy posmak i gołębią niewinność, tam, gdzieby na miejscu była papryka i sepia drapieżność. Autorowi chodziło niewątpliwie o to, aby zamiast łatwej w obecnych czasach i taniej zgryźliwości dać pogodne i beztrojskie baraszkowanie. Twórca „Sublokatorki“ mógł się na to zdobyć; dlaczego zmarował dobry pomysł?

Wśród wykonawców prym trzymała Cwiklińska. Może była za mało ordynarną chłopką, zanadto damą, która chłopkę udaje. Fertner błaznował na własny rachunek, a reszta? Robiła humor, którego nie było.

S. P. O.

## Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

„Orfeusz w piekle“ Offenbacha.

Przed 50-ciu laty zmarł wybitny w epoce drugiego cesarstwa kompozytor oryginalnej „oper buffo“ i ulubionych w Paryżu operetek — Jakób Offenbach. Jako kapelmistrz w „Théâtre français“, był zrazu dostawcą wkładek muzycznych dla sceny komedjowej, a dopiero po latach talent Offenbacha rozwinął się i stworzył operetki, które przyniosły mu sławę w całej Europie.

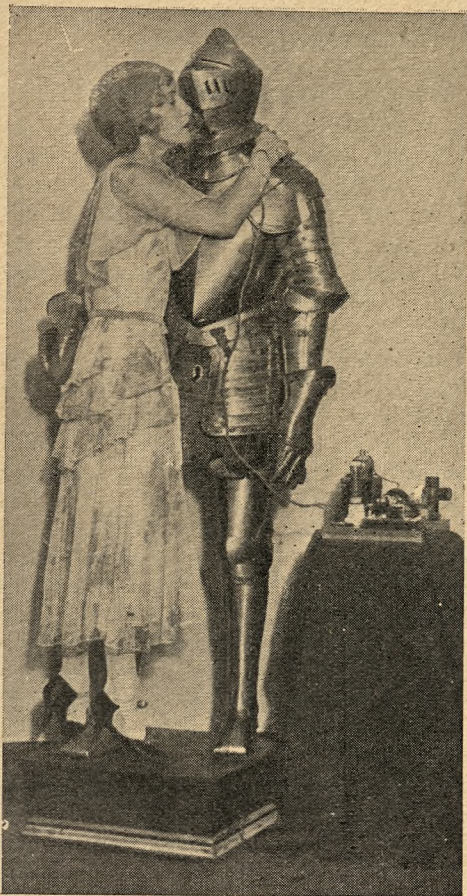
„Piękna Helena“, życie paryskie“ i „Orfeusz w piekle“ — były to satyry w lekkim, operetkowym stylu, pełne humoru i ciętego dowcipu na temat rzeczy aktualnych.

Jednakże dziś treść operetek offenbachowskich, niewątpliwie zajmująca, należy już do przebrzmiałej przeszłości; pozostała jedynie prześlizczna muzyka, o liryzmie „Opowieści Hoffmanna“, o melodji niezapomnianych aryj operetkowych, o pięknych solach skrzypcowych i wiolonczelowych na tle ładnych harmonij i lekkiej instrumentacji.

Oto, co pozostało z „Orfeusza w piekle“. Nie przemawia do nas już z tą siłą, co ongiś, pulsujący życiem i rytmem offenbachowski „Cancan“, a treść musiałaby być zaktualizowana chyba z analogicznym dowcipem i ironją, co przed laty, aby operetka mogła obudzić humor widzowi. Tymczasem podano nam w Teatrze Wielkim „Orfeusza w piekle“ w formie, zaktualizowanej — na ponuro. Niema tam ani dowcipu, ani humoru, niema nic z satyry, ale są zato niesmacznie podane reklamy firm warszawskich. Nudnego „Orfeusza“ ratowała czarująca Eurydyka, Maryla Karwowska, która śpiewała doskonale, tańczyła i grała z dużym wdziękiem: słowa uznania należą się także Janowskiemu, który, jako John Styks, dał dobry typ operetkowy. Ładny był także barwny balet i efektowne dekoracje, ale to wszystko nie usprawiedliwia wystawienia „Orfeusza w piekle“ w tej postaci na scenie Teatru Wielkiego.

P. L.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



*Platoniczny pocałunek.*

Najmłodniejszą maszyną w Ameryce jest „robot”. Mechaniczny człowiek, wykonywający różnorodne funkcje, reklamowany jest na wszystkich wystawach. Ostatnio na kiermaszu radjofonicznym w Nowym Yorku „robot” spełniał funkcje speakera, a uroczą artystką, Wera Webster, dała się sfotografować z tym „żelaznym człowiekiem”, ubranym w średniowieczną zbroję rycerską.



*Miss Hale  
w uniformie.*

Studenci uniwersytetu w Kansas uformowali oddział rezerwy wojskowej. Komendantką tego bataljonu została Miss Adela Hale. Ameryka przyjmuje też w tej chwili kobietę oficera, naszą rodaczkę, poruczniką Zofję Nowosielską. Panna Nowosielska była w 20 r. komendantką kobiecego bataljonu śmierci i odznaczona została wielu orderami.



*Porucznik Nowosielska.*



*Oryginalna „handlarka”.*

Niewiasty amerykańskie nie opuszczają rąk podczas bezrobocia. Nie mogąc dostać zajęcia, panie z inteligencji nie wahają się jąć wszelkich gałęzi pracy. Tak robi Miss Oppenheim, która zajmowała dawniej wyższą posadę handlową. Obecnie zredukowana, wzięła się do ulicznej sprzedaży owoców i z najmiłym uśmiechem podaje klientowi wspiane jabłka.



*P. Christel Schultes zamierza odbyć lot naokoło świata.*

## KONKURS LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego rozpisało dwa konkursy:

- 1) na utwór z dziedziny sportu i kultury fizycznej;
- 2) na rzeźbę o temacie sportowym.

Odnaczone prace konkursowe będą wysłane na Wystawę Olimpijską podczas Igrzysk X-ej Olimpijady w Los Angeles i mogą, podobnie, jak w Amsterdamie 1928 r. na Igrzyskach IX-ej Olimpijady, dać Polsce punkty.

Termin nadsyłania utworów: 1 listopada 1931 r. Suma nagród literackich wynosi 20 tys. zł., przytem największa nagroda nie może wynosić więcej, niż 10 tys. zł., najmniejsza, mniej, niż 5 tys. zł.

Na nagrody za rzeźbę przeznaczono 12 tys. zł.; najniższa suma 2 tys. zł.

Bliższych szczegółów o warunkach konkursu zasięgnąć można w Polskim Komitecie Olimpijskim (Wiejska 11).

## DLA PRACUJĄCYCH KOBIET.

Fundacja Tanich Mieszkań im. małż. Wawelbergów, pragnąc umożliwić kobietom pracującym zdobycie kulturalnego mieszkania za przystępną cenę, podaje za naszym pośrednictwem do wiadomości, że w „Ognisku“ w II Osiedlu, przy ul. Ludwiki 1 (bocznica ul. Bema) zostaje przeznaczony na ten cel całe piętro z 40 pokojami, osobną jadalnią, czytelnią i łazienkami.

Zgłoszenia o wynajęcie przyjmuje zarządzająca Ogniskiem: tel. 777-36, lub administracja domu: tel. 443-61.

## ZIMOWE UZDROWISKO „RODZINY WOJSKOWEJ“.

Stow. Rodzina Wojskowa organizuje w czasie świąt Bożego Narodzenia kurs dokształcający dla wychowawczyń swoich przedszkoli, pod kierownictwem przełożonej seminarjum Państw. p. Czerwińskiej. Program obejmuje higienę dziecka, śpiew, rysunki, gimnastykę i nowoczesne metody wychowawcze przedszkolne. Oprócz wykładów odbędą się wycieczki i konferencje.

Bardzo dobry pomysł urzeczywistnia też w tym roku „Rodzina Wojskowa“: otwarty zostaje pensjonat dla osób dorosłych w Rabce. Zarząd pragnie udostępnić kurację również i rodzinom. Pensjonat otwarty będzie cały rok, z wyjątkiem 2 miesięcy letnich, w czasie uruchomienia kolonji dziecięcej. Warunki opłaty za mieszkanie i doskonałe utrzymanie obliczono bardzo skromnie, 8 zł. 50 gr. dziennie. Bliższych informacji można zasięgnąć w Sekretarjacie „Rodziny“ (Nowowiejska, gmach Min. Spr. Wojsk. pokój Nr. 77), lub pod adresem: Rabka, Willa św. Tereski, Kierowniczka p. Krasnodębska.

## ś. p. FLORENTYNA STANKIEWICZ.

Zmarła była jedną z pierwszych polskich farmaceutek, współpracowniczką pionierki farmacji wśród kobiet, A. Leńniewskiej. Długie lata wykładała na kursach farmaceutycznych żeńskich w Petersburgu. Przez czas wojny wszystkie wolne chwile poświęciła pracy społecznej wśród kolonji polskiej. Wróciwszy do kraju, objęła miejsce zastępcy kierownika w jednej z aptek Kasy Chorych i pozostawała na tem stanowisku do chwili, w której ciężka choroba zmusiła ją do przerwania pracy.

Na każdej z zajmowanych placówek ś. p. Florentyna Stankiewicz zyskiwała sobie uznanie i sympatję za prawość charakteru, ofiarną pracę, skromność i prawość.

## PIERWSZA MALARKA ŚLĄSKA.

W Katowicach, w lokalu Związku Artystów-Plastyków Śląskich, otwarta została wystawa, w której poraz pierwszy na Śląsku wzięła udział kobieta, p. Aniela Lewandowska. Prace jej, krajobrazy śląskie i z Kazimierza, oraz martwa natura zyskały duże uznanie i kilka z nich już zakupiono. P. Lewandowska umieszczała swe kompozycje zdobnicze w „Bluszczu“, obecnie pracuje, jako nauczycielka Szkoły Zawodowej Towarzystwa Polek w Katowicach.

## PISMO MŁODZIEŻY FRANCUSKIEJ I POLSKIEJ.

Przyjaciółka nasza, p. Róża Bailly, nie ustaje w pracy nad zbliżeniem Francji i Polski. Obecnie przy redagowanym przez nią miesięczniku „Les Amis de la Pologne“ ukazało się drugie wydawnictwo: „Notre Pologne“, jako organ młodzieży francuskiej, zaprzyjaźnionej z młodzieżą polską.

Pismo zawiera piękne ilustracje: widoki miast i charakterystyczne sceny z życia polskiego, ciekawe artykuły i specjalną stronę korespondencyjną młodych przyjaciół. Kto śledził uważnie rozwój stosunków między młodzieżą szkolną obu krajów, listy, wycieczki, wymianę, ten łatwo zda sobie sprawę, jak żywe i rozgałęzione są już dziś węzły, łączące wiele grup uczniów szkół polskich i francuskich. Pismo „Notre Pologne“ wzięło sobie za zadanie większą jeszcze koordynację i ustalenie tych stosunków. Najserdeczniej życzymy mu powodzenia.

## CHOINKA W SĄDZIE DLA NIELETNICH W WARSZAWIE.

Towarzystwo Opieki Specjalnej nad dziećmi przy Sądzie dla nieletnich w Warszawie młodą jest instytucją, gdyż istnieje zaledwie od roku. Niemniej działalność jej daje coraz owocniejsze wyniki.

Oto w dniu 28 grudnia r. ub. w lokalu Sądu przy Placu Krasieńskich 12 odbyła się wielka uroczystość wspólnej choinki, dla licznej rzeszy pupilów Sądu.

Dwie sale natłoczone były „publicznością“, która z godnym podziwu opanowaniem wysłuchiwała szeregu przemówień dostojnych gości, odśpiewała kolendy przy akompaniamencie orkiestry młocodolnych wychowanków zakładu O.O. Albertynów.

Uroczystość serdecznymi słowy rozpoczął ks. Piotr Peżyna, poczem przemawiała, gorąco przez swych klientów witana, sędzia Wanda Grabińska. Po niej głos zabrali kuratorka sądowa p. Felicja Sawicka i kurator p. Waldemar Magalif. „Ode do młodości“ z temperamentem i werwą wypowiedział młody harcerz, poczem wszyscy dzielili się oplatkiem.

Atrakcją dominującą były paczki, któremi wszystkie dzieci bez wyjątku obdarowywano przy wyjściu. Paczek przygotowało 219, a każda zawierała: pół kg. kielbasy, pół kg. strucli cukierkowej, pół kg. jabłek, pierniki, cukierki, kawałek mydła, 2 chustki do nosa, skarpetki lub pończochy oraz zabawkę — grę (warcaby, lotto lub domino). Pozatem bilet, uprawniający do pójścia na „Jasełka“.

Uszczęśliwione dzieci z roześmianymi twarzami opuszczały gmach Sądu a zaproszeni goście, wśród których zauważyliśmy prezesa Sądu Apelacyjnego p. Feliksa Dutkowskiego, wiceprezesa p. Piotra Orłowskiego, prezesa Sądu Okręgowego p. Tadeusza Kamieńskiego i sędziego Sądu Okręgowego p. Antoniego Komorowskiego, składali na ręce sędziego W. Grabińskiej słowa uznania za pracę i życzenia dalszego jej rozwoju.

M. A.

## OD NOWEGO ROKU 1931 W „BLUSZCZU“ WPROWADZONE BĘDĄ NASTĘPUJĄCE ZMIANY:

1) zamiast dodatku pomieszczeniowego w ilości jednego arkusza druku co tydzień, Prenumeratorki nasze będą mogły otrzymywać raz na miesiąc za odpowiednią dopłatą, KSIĄŻKĘ, WYBRANĄ PRZEZ NAS Z POŚRÓD PIERWSZORZĘDNYCH NOWOŚCI BELETRYSTYCZNYCH. Pozatem Administracja nasza zakupiła większą ilość powieści, które, JAKO PREMJE, będą sprzedawane naszym prenumeratorkom po cenach nietykalnie niskich.

2) raz na kwartał Prenumeratorki nasze otrzymywać będą BEZPŁATNIE KOLOROWY DODATEK MÓD I ROBÓT.

3) zamiast jednostronnie drukowanego ARKUSZA WZORÓW ROBÓT co tydzień, będzie dołączany taki sam arkusz, DWUSTRONNIE DRUKOWANY, raz na dwa tygodnie.

# NASZA MÓWNIKA

**W sprawie małżeństwa** (w odpowiedzi p. W. Z. z Krakowa).

W artykule swym „Niech się wypowiedzą młodzi” wezwała nas Pani i to mię zachęciło do skreślenia tych kilku słów. Wprawdzie nie mogę mówić w imieniu moich rówieśniczek, ale może mój głos zachęci do wypowiedzenia się inne młode czytelniczki „Bluszczu”.

Powiada Sz. Pani, żebyśmy się mądrze i rozsądnie dobierali. Nie jest to tak proste, jakby się zdawało. Co dziś wydaje się rozsądne, niewiadomo, czy jutro takie będzie. Jeśli chodzi o wybór, albo o decyzję w pewnym wypadku, to trzeba znać tego człowieka, prawda? A czy wogóle poznanie człowieka jest możliwe? Przecież nie zna się nawet samego siebie, a już drugą duszę ludzką nie sposób przejrzeć. Zdaje mi się, że można mieć tylko pewien procent prawdopodobieństwa, że taki, czy inny będzie dany człowiek w przyszłości. Chociażby on sam dziś najszczerzej zapewniał, jaki będzie, nie da to nam żadnej pewności, że tak się stanie, bo przecież może się zmienić. Gdyby mnie kto spytał, jaką będę żoną, odpowiedziałabym, że taką a taką *chcę, postaram się być*, ale nie mogłabym powiedzieć: będę napewno.

Przeraża Sz. Panią pożycie większości współczesnych małżeństw i słusznie. Mnie też przeraża, ale przecież nie tyle, żebym się zniechęciła i nabrała ochoty do staropanieństwa. Przeraża mię wprawdzie myśl, że małżeństwo może zahamować mój rozwój duchowy, że wszelkim mym dążeniom może postawić silne tamy.

Np., pracuję zawodowo; choć praca ta jest źródłem utrzymania, jest jednocześnie taką, że wkładam w nią część duszy swojej, kocham ją i, jako mężatka, też chcę pracować. Dalej: uczę się, nie dla chleba (ten już mam i to niegorszy), ale z umiłowania wiedzy, dla radości poznawania, rozszerzania swych horyzontów myślowych, nauki swej nie myślę zakończyć np. magisterjum.

To wszystko może się memu ewentualnemu mężowi nie podobać. Więc cóż, wyrzec się tego? Nie mogę. Między kuchnią, kołyską, a sypialnią za ciasnoby mi było! A jednak chcę wyjść zamaż, chcę być matką i chcę, by dziecko moje miało dom i ojca. Więc błędne koło? Nie, trzymam się zasady: Na wszystko jest wyjście, tylko trzeba je umieć znaleźć.

Zdaje mi się, że potrafię tak urządzić życie rodzinne, żeby mieć czas i dla siebie. Nie jest to gołosłowne przypuszczenie, ja się poprostu przygotowuję do tego życia. Np. studjuję Koresp. Kursy Gosp. Dom., pilnie wczytuję się w artykuły, traktujące o nowoczesnym gospodarstwie domowym, obserwuję życie znanych mi małżeństw. I dalibóg, mam nadzieję, że dam sobie radę.

Rozumie się, że mężczyzna, którego wybiorę, musi być człowiekiem nowoczesnym, człowiekiem, który się zgodzi na pewne reformy tradycyjnego pojęcia o życiu rodzinnym; zgodzi się na zostawienie mi maksimum swobody, z wiarą, że jej na zło nie użyję (przynajmniej włożę w to całą moją dobrą wolę).

Powstaje i nasuwa mi się wiele myśli, z tematem powyższym związanych, ale obawiam się, że i tak za dużo napisałam, więc kończę.

Sz. Pani pisze, że „niestety” nie ma kontaktu z młodymi. Gdyby Pani chciała, to proszę kontakt taki nawiązać ze mną. Adres mój w Redakcji.

R. C. — Wilno.

## O przyjaźni.

Do filozoficznej rozprawy p. Dr. Spoczyńskiej dodaję tu kilka skromnych uwag ze swych rozmyślań na ten temat.

Przyjaźń. Słowo o głębokiem i szerokiem znaczeniu. Każdy prawie o niej marzy i za nią tęskni, a tak mało komu poszczęści się ją odnaleźć! Tę prawdziwą, polegającą właśnie na zharmonizowaniu zamiłowań i poglądów.

Sądzę, że przyjaźń stanowczo ma większą wartość, aniżeli miłość, w ogólnem pojęciu, oparta przeważnie na zmysłach. A to dlatego, że, jak pisze już Narcyza Żmichowska, wierna, dozgonna przyjaciółka Wandy Grabowskiej-Żeleńskiej: „organizm społeczny większością jeszcze swoją, nawet setną częścią swoją. Miłości w jej ideale nie dorósł (ani miłości, ani żadnego innego ideału), więc o to się starać przynajmniej wypada, żeby iść ku niej, przygotowywać jej możliwość następnym pokoleniom”.

Ale jak przygotowywać!? Trzebaby, jak zresztą dziś w prasie i w życiu szeroko o tem się pisze i mówi, od podstaw zmienić wychowanie, zmienić umysłowość ludzką, przeobrazić uczucia.

Obok wiedzy rozwijać więcej uczuciowość i szlachetność zasad, te podstawy etyki. Jeden bowiem Chrystus więcej w tej dziedzinie dokonał, niżeli przez tyle wieków taka pokaźna ilość uczonych.

Delikatny kwiat przyjaźni wzrośnie tylko na gładzie, zasilanej wyżej wspomnianymi zaletami.

Trzeba więc, jeśli czujemy je w sobie, troskliwie je pielęgnować, jeśli nie, starać się rozwijać je w sobie i w tych, którzy idą po nas w życie.

Dlatego tak mało prawdziwej przyjaźni, gdyż do niej zdolni są tylko ludzie o wysokich walorach duchowych, nie tyle erudyci, ile nie-egoiści, obdarzeni szlachetną i subtelną uczuciowością.

Dała nam też tego dowody p. H. Spoczyńska, na przykładach z przeszłości i literatury.

Sądzę, iż nie można się pogodzić z opinią, że kobiety nie dorosły w pełni do zrozumienia przyjaźni.

W mojem, już dość długiem życiu, na podstawie własnych doświadczeń i bystrej specjalnie w tym kierunku obserwacji, śmiem twierdzić, że mężczyzna, jako bardziej zmysłowo rozwinięty (czy tylko mniej opanowany?), z przewagą wrodzonego egoizmu (czy tylko nabytego wskutek wychowania i zbytich przywilejów, które sobie wciągu wieków przywłaszczył?), mniej zdolny jest do tej „uduchowionej miłości”, niżeli kobieta, uznana już z natury za bardziej uczuciową.

Chcąc więc częściej przyjaźni do życia powoływać, musi mężczyzna tak samo, jak i kobieta, „rozwijając w sobie dyspozycję do przyjaźni”.

Tą zaś dyspozycją jest ciągle udoskonalanie się. Stwórzmy więc z naszej dobrej woli pomost, po którym przyjdzie do nas przyjaźń, ta największa osłodzicielka często cierpkiego życia.

Mil. Ada,



*Wystawa haftów bułgarskich w poselstwie bułgarskiem. — Na lewo pani ministrowa Robeff z córką w kostjumach ludowych.*

## WYSTAWA HAFTÓW LUDOWYCH W POSELSTWIE BUŁGARSKIM

Pani ministrowa Robeff, małżonka posła bułgarskiego w Warszawie, dała przykład sympatycznej i ciekawej inicjatywy w dziedzinie propagandy sztuki ludowej, urządzając w lokalu poselstwa wystawę kostjumów, haftów i tkanin bułgarskich. Można tam było oglądać autentyczne świtki, koszule, zapaski ludowe, zdobne bogatym haftem, i ten sam haft na współczesnych sukniach, szalach, bluzkach letnich, sukienkach dzieciennych, a przede wszystkim na tak modnej obecnie bieliźnie stołowej.

W przystosowaniu motywów ludowych do potrzeb nowoczesnego stroju i wnętrza znać dużą kulturę i odczucie materiału. Suknie czarne jedwabne, ozdobione matowym srebrzystym haftem, wyglądały bogato, strojnie i dostojnie — istne szaty matron. Nastrój letniska, wakacyj, majówki — wnosiły bluzki damskie i sukienki dzieciinne z białego i kremowego płótna, jedwabiu lub bawełnianej krepy, całe jakby przepojone słońcem, zdobne szlakiem, haftowanym w żywych, gorących kolorach, głównie szafirowym i ponsowym. Sporo też było serdaczków białych sukiennych, mogących służyć, jako uzupełnienie letnich sukien, utrzymanych w charakterze ludowym.

Bogactwo motywów i różnorodność barw znalazły sobie jednak najodpowiedniejszy i najwdzięczniejszy teren w bieliźnie stołowej, w tych kompletach obrusów, serwet i serwetek, które umiejętnie zasłano stoły i stoliki, podnosząc dekoracyjny efekt całości gustownie dobraną zastawą.

Mimowoli szukało się w myśli właściwego miejsca i oświetlenia dla tych olśniewających płócien,

kwitnących radośnie girlandami kwiatów, lub płomiennym szlakiem; płócien, zrodzonych pod jaskrawym, nie tolerującym półcieni, słońcem Bułgarji, w kraju, gdzie barwy osiągają natężenie, nieznane nawet we Włoszech. Niewątpliwie te serwety mogą stać się ozdobą każdego mniej ceremonialnego five o'clocku, ale przede wszystkim stanowią idealne tło dla intymnych śniadań i podwieczorków w plein'airze, w otoczeniu wiejskim, w nasyconym zielenią półcieniu ogrodu, werandy — na słonecznej pergoli, pod złotą lub pomarańczową markizą, albo nawet poprostu na miejskim balkonie czy tarasie, gdzie kilka skrzynek pelargonji daje złudzenie własnego ogrodu.

Dodajmy, że większość eksponatów, wykonanych pracownitami rączkami bułgarek, przeznaczona była na sprzedaż na rzecz towarzystwa „Bułgarski Nakit“, którego celem jest z jednej strony umożliwienie zarobku kobietom niezamożnym, z drugiej — propaganda haftów ludowych.

Wystawa trwała trzy dni przed Świętami i cieszyła się liczną frekwencją. Roli ciceronów, z właściwą bułgarkom gościnnością i wdziękiem, podjęły się panie i panienki z poselstwa, ubrane w kostjумы ludowe, oprowadzając gości po wystawie i udzielając wyczerpujących wyjaśnień co do pochodzenia i rodzaju haftów oraz cen eksponatów.

Nie trzeba podkreślać, że stanowiły jedną z największych atrakcyj wystawy, której powodzenie powinno stać się przykładem dla pań z dyplomacji i pierwszą jaskółką żywej propagandy sztuki ludowej na terenie placówek dyplomatycznych.

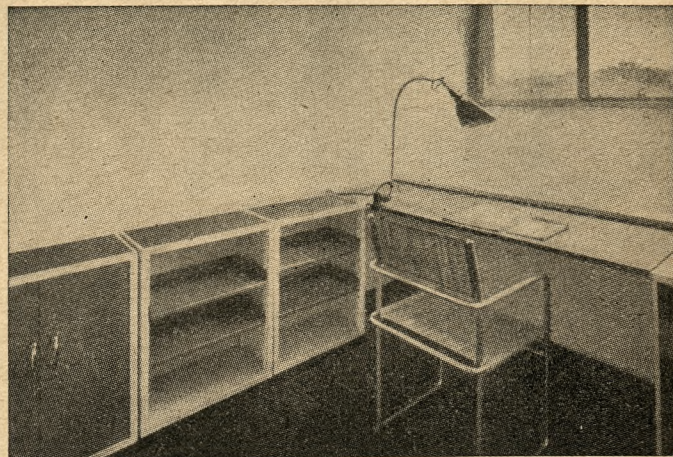
S. P. O.

## NOWOCZESNE MEBLE

Nowoczesne meble, jak wszelka rzecz nowa, wywołują najsprzeczniejsze wrażenia: jednym bardzo się podobają, innym dają tylko powód do śmiechu, zdumienia, a czasem nawet oburzenia...

Nie można temu się dziwić. Nowoczesne meble, podobnie, jak nowoczesne mieszkania, stanowią cały świat dążeń i prób. Nowe ich formy, inny sposób wykonania i wykończenia, mocne, jaskrawe barwy, tak rzadko spotykane dawniej, zastosowanie nowych materiałów, pomysłowość w dostosowaniu do małych mieszkań, a nade wszystko możliwość dowolnego ich użytkowania — odróżnia je we wszystkim od dawnych stylowych i pseudo-stylowych mebli.

Powodem tak wielkiej zmiany jest zmniejszenie wymiaru nowych mieszkań przy jednoczesnym nadaniu im charakteru wygody i prostoty, co osiągnięto przez wprowadzenie nowych urządzeń i nieruchomych mebli, ściśle związanych z danym mieszkaniem.



*Kąt pokoju z meblami umocowanymi, przeznaczony do pracy.*

Mamy tam już duży wybór mebli kombinowanych, przeznaczonych do różnorodnych potrzeb. Mebel taki spełnia często rolę kredensu, bieliźniarki, biblioteczki podręcznej i sekretarzyka zarazem.

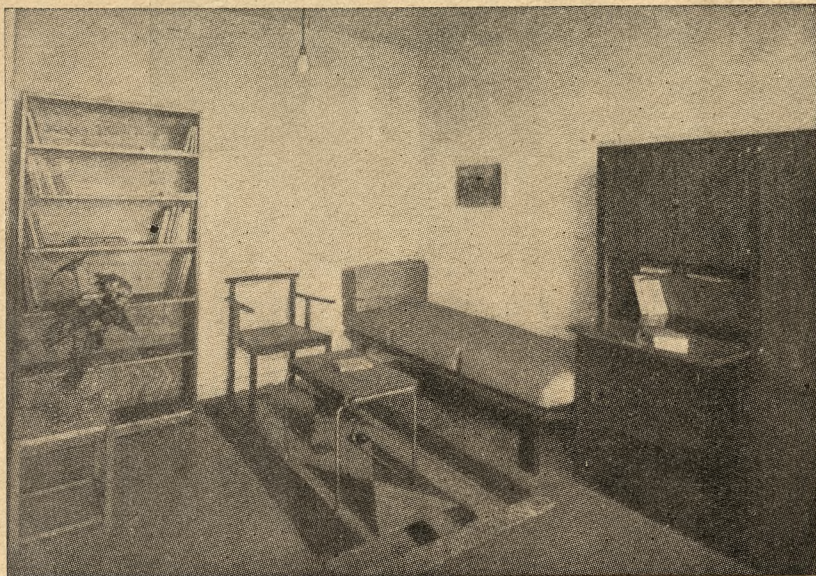
To samo dotyczy stołów o podwójnych blatach z różnymi przegródkami, krzeseł o dowolnym oparciu, tapczanów z półkami na książki, szafkami na różne drobiazgi i t. p.

Najciekawszy jednak jest ich kształt i wymiar. Nowoczesne meble są niskie, dostosowane do wzrostu człowieka i do pozycji, w jakiej z danego mebla korzysta. Poza to są mniejsze i lżejsze, dzięki stosowaniu szkła i dykty, jako materiałów wypełniających, i rur dętych, zamiast masywnego drzewa. Kształt ich jest zazwyczaj prosty.

Powierzchnia mebli jest gładka, spokojna i pozbawiona wszelkich tandetnych ozdób. Powleczone są ładną politurą, lub bejcowane z uwydatnieniem słoje drzewnych. Czasem różne warstwy drzewa i ich kierunek stanowią jedyną ozdobę mebla drewnianego.

Prostota ta ma wielkie znaczenie i pod względem gospodarczym. Obniża koszt, upraszcza sprzątanie i oszczędza czas gospodyni.

Zarazem meble te, dzięki swej prostocie



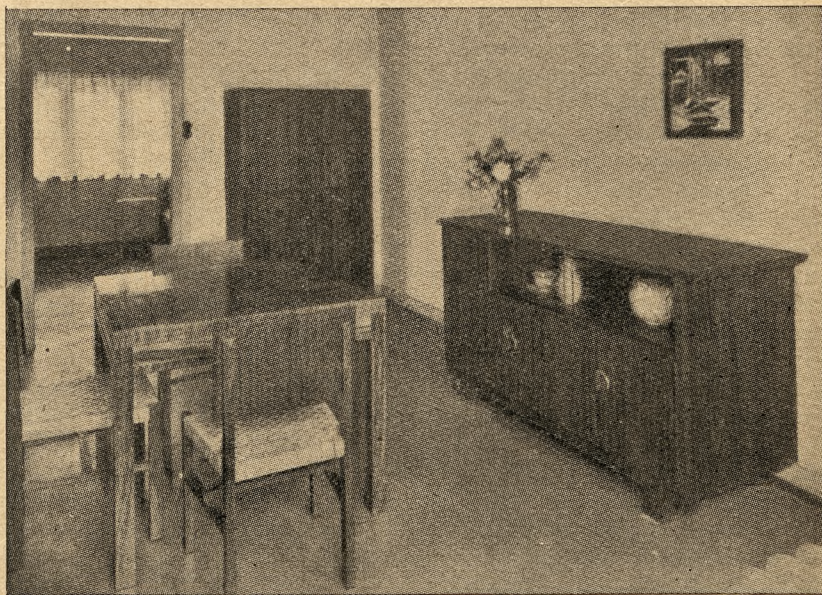
*Pokój mieszkalny — kanapa zastępuje łóżko.*

W małych nowych mieszkaniach nie mamy przede wszystkim dawnych szaf, zajmujących tyle miejsca. Kryją się one w gładkich murowanych ścianach, lub wypełniają wolne miejsce pomiędzy dwiema drewnianymi ścianami. W ścianach mamy również liczne półki, biblioteczki, szafki, gotowe umywalki, stoły z podnoszonymi blatami, skrytki i schowanka na różne sprzęty i drobiazgi.

Mieszkanie, tak bogato wyposażone w meble ścienne, wymaga całkiem innych mebli, niż dawne. Meble, które do niego wstawiamy, nie powinny zapełniać tak przerażającej nas zwykle pustki w mieszkaniu starego typu. Muszą one tylko uzupełniać pozostałe braki, niezaspokojone przez istniejące meble nieruchome, i nadać wnętrzu wyraz i piękno.

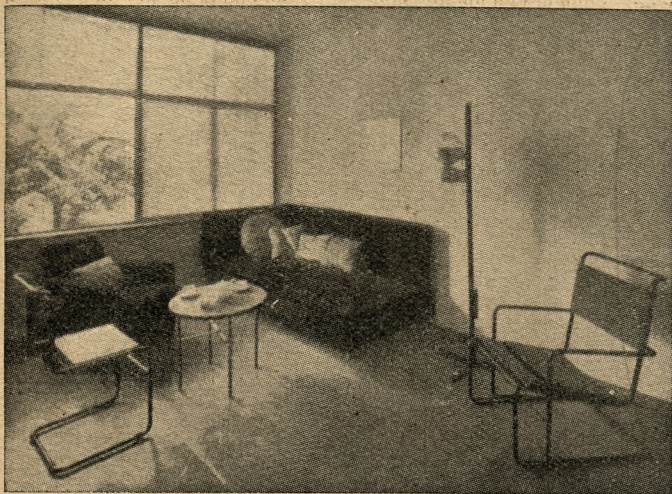
Okazuje się, że o to nie trudno w małym mieszkaniu, skoro wstawimy tam zaledwie kilka sprzętów potrzebnych, a zarazem miłych.

Zagranicą, gdzie meble nowoczesne są już produkowane masowo, można niewielkim kosztem zaopatrzyć mieszkanie w piękne, solidne i praktyczne meble ruchome.



*Pokój jadalny.*





Część pokoju zastępującego salon i gabinet.

i solidnemu wykończeniu, dają się łatwiej konserwować, a, jako ściśle dostosowane do wymiaru nowych mieszkań, są ustawne i odpowiednie dla każdego małego mieszkania.

Jaskrawa barwa, stosowana często do mebli drewnianych i metalowych, tłumaczy się chęcią rozveselenia nowych mieszkań, posiadających naogół gładkie, spokojne ściany.

Przy należytem wzajemnem zharmonizowaniu barw, meble te mogą dać wiele zadowolenia estetycznego dla oka i wnieść jeszcze więcej radości do naszych jasnych, prostych, logicznie obmyślonych i celowo urządzonych siedzib. *J. Ginett-Wojnarowiczowa.*

## INSTYTUT GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Na wszystkich polach gospodarczego życia państwowego zdążamy obecnie do osiągnięcia jak największej celowości, przywołując do pomocy: naukę, technikę i praktykę.

Gospodarstwo domowe jest jedną z najważniejszych gałęzi gospodarstwa krajowego, stanowi bowiem 5.000.000 (5 milionów) warsztatów pracy, w których codziennie dokonywa się przetwarzanie surowców — w produktach żywności, materiale odzieżowym i t. p. — na rzeczy użytkowe życia codziennego.

Prowadzenie takiego codziennego i nieprzerwanego warsztatu pracy wymaga wielostronnej umiejętności. Osoba, stojąca na czele domu, musi orjentować się w zagadnieniu chemji odżywiania, aby wiedzieć, co i dlaczego należy podawać dzieciom i innym członkom rodziny, aby w warunkach, w jakich żyją, dać im możność najlepszego rozwoju fizycznego.

„Pani domu“ powinna rozumieć ogólne prawa fizyki i chemji, rządzące zjawiskami, spotykanymi w gospodarstwie domowym, jak gotowanie (pieczenie, duszenie, konserwowanie), pranie (metody mechaniczne i chemiczne), opalanie (wartości kaloryczne różnych rodzajów paliwa), wreszcie maszynoznawstwo i instalacje, tam, gdzie tego zachodzi potrzeba. Jeżeli dodamy jeszcze do tego umiejętność pedagogji i higieny, widzimy, że trzeba dużego zakresu wiadomości, aby sprostać odpowiedzialnemu zadaniu kierowniczkii domu. Mówimy tu o kierownictwie odpowiedzialnem, bo tylko takie ma dla Państwa istotne znaczenie. Każda oszczędność, albo każde marnotrawstwo, pomnożone przez 5.000.000, stanowią w oszczędności czy marnotrawstwie Państwa bardzo wyraźną pozycję.

Na skutek żeńskiego programu szkolnego, pomyślanego u nas na wzór szkoły męskiej, kobieta polska wstępuje w życie nieprzygotowana fachowo do swojego zawodu „pani domu“, który większości kobiet przypada w udziale. Gdyby zresztą nawet wyobrazić sobie na moment, że każda kobieta otrzymuje w szkole w odpowiednim zakresie (zależnie od środowiska życiowego) także idealne wykształcenie — to pomimo tego w wykonywaniu swojej późniejszej pracy nie będzie ona miała bezwzględnego objektywizmu, który pozwoliłby jej trafnie ocenić, co z rzeczy użytkowych w domu — maszyn, narzędzi, sprzętów i t. d. — jest istotnie celowe, a co nie.

Pochodzi to stąd, że warsztat gospodarstwa domowego nie jest fabryką, lecz, zależnie od składu rodziny, t. zn. ilości domowników i warunków finansowych, nosi cechę indywidualną. Możemy tedy obserwować ciągle powtarzające się fakty u nas w domu i u naszych bliźnich, że kupujemy różne przedmioty, z pozoru użyteczne, które po wypróbowaniu odrzucamy do składu rupieci, jako niezdatne w naszych warunkach, czyli popełniamy marnotrawstwo.

Każda gałąź przemysłu posiada swoje laboratorja badawcze, czyli Instytuty, które wypracowują dla danych warsztatów pracy metody takie, aby przy jak najmniejszym zużyciu siły, czasu i materiału, dać jak najlepsze rezultaty, czyli największą wydajność pracy.

Jeżeli z tego stanowiska spojrzymy na 5.000.000 warsztatów gospodarstwa domowego u nas, zobaczymy obraz naprawdę niewesoły: niezmierne marnotrawstwo siły kierowniczkii domu, materiału i czasu, wypływające z nieumiejętności, która jest z kolei rezultatem nieprzygotowania. Że to olbrzymie marnotrawstwo codzienne doniosłe znaczenie dla życia państwowego, przekonały się państwa Europy w czasie Wielkiej Wojny, kiedy te właśnie sprawy właściwego zużycia materiału odegrały bodajże najważniejszą rolę.

Aby temu błędnemu kołu chociaż w części kres położyć, pomyślano w Europie o zakładaniu laboratorjów, które stanęłyby na stanowisku celowego zużycia materiału i oszczędnego szafowania siłami w warsztacie gospodarstwa domowego. Ameryka założyła taki Instytut Gospodarstwa Domowego już 20 lat temu, Europa zaś dopiero po doświadczeniach Wielkiej Wojny. Wzorem Anglji, Szwecji, Francji, Niemiec i Czechosłowacji, stworzono i u nas w Polsce doświadczalnię gospodarstwa domowego z siedzibą w Warszawie.

Warunkiem, który taka doświadczalnia musi spełnić, aby zdobyć zaufanie przemysłu i społeczeństwa, jest jej absolutna niezależność i stanowcza objektywność w ocenianiu badanego przedmiotu. Jedy-nym celem, któremu ma zadość uczynić badany przedmiot, jest jego użyteczność w domu, a jedynymi warunkami, pod których kątem jest badany, mogą być tylko indywidualne warunki domowe. Przedmioty, uznane przez Instytut, jako odpowiadające celowi, otrzymują swój specjalny znak, czyli „cechę“ Instytutu, której z kolei na tych przedmiotach poszukują konsumentki.

Idea Instytutu służenia paniom-gospodyniom łączy się ściśle z ideą samowystarczalności krajowej. Produkcja przedmiotów gospodarstwa domowego, t. zw. galanterja kuchenna, jest u nas dopiero w zaczątku. Rynek nasz jest zalany towarem obcym i to przeważnie tandetnym. Stanowisko zrzeszonych kobiet, uświadomionych pod tym względem, może zdziałać bardzo wiele.

Instytut Gospodarstwa Domowego w Polsce powstaje jako instytucja społeczna; kapitał zakładowy

stanowią udziały członków rzeczywistych (500 zł.) i popierających (100 zł.). Prowadzenie doświadczeń jest w Instytucie bardzo kosztowne, opłaty zaś ze strony producentów stosunkowo niskie; pozatem Instytut nie korzysta z żadnych przemysłowych subwencji, aby móc utrzymać konieczną niezależność swojej oceny. Zanim uzyskamy pomoc rządu i postawimy Instytut na stanowisku, równym Instytutom innym, musimy apelować gorąco do społeczeństwa, aby udziałami członkowskimi przyczyniło się do rozwoju działalności Instytutu. Udziały mogą być rozłożone na drobne raty miesięczne, w ten sposób bowiem nie obciążą naszych skromnych budżetów. Zależnie od podpisanej deklaracji, posyłamy każdego miesiąca czeki przypominające, z prośbą o wpłacenie rat na konto P. K. O. Nr. 22366. (Zgłoszenia przyjmujemy pod adresem: Instytut Gospodarstwa Domowego, Warszawa, ul. Kaźmierowska 60).

Nie zapominajmy o tem, że zbiorowy wysiłek, jako wykładowa drobnych wysiłków, daje w rezultacie znacznie więcej, aniżeli poszczególne wielkie ofiary!

*Janina Godlewska-Huberowa.*

## CZYSTOŚĆ I HIGJENA W GOSPODARSTWIE

W większości gospodarstw wiejskich w różnych stronach Polski rzuca się w oczy fakt, że najmniej zwykle przestrzegana jest czystość w tej części gospodarstwa podwórzowego, która stanowi „kobiece gospodarstwo”, a więc w kurnikach i w chlewach.

Miałam często sposobność zwiędzać różne gospodarstwa i zawsze z przykrością patrzałam, jak obok wzorowo utrzymanych stajni i obór, znajdują się chlewy na 4 — 6 sztuk trzody, kurniki na 20 — 30 kur, nieopisane brudne, ciemne i zaniedbane, choć przy bardzo niewielkiej ilości starania mogłyby wyglądać zupełnie inaczej.

Każdy z hodowców wie, że jednym z najważniejszych warunków powodzenia w hodowli jest utrzymywanie inwentarza i budynków gospodarskich w odpowiedniej czystości. Dlatego też każdy kierownik gospodarstwa, któremu zależy na opłacalności poszczególnych działów, będzie dbał o tę czystość i porządek, czy to w stajni, oborze, czy w chlewach.

W gospodarstwie podwórzowym kobiecem zwykle trzyma się kury, żeby było trochę jaj; trzyma się świnię, żeby można było parę razy do roku zabić co na mięso, a na opłacalność tej hodowli zwraca się mniejszą uwagę. Pani domu, jeśli nie jest specjalnie zamilowaną hodowczynią, a ma dużo innych obowiązków i zatrudnień, zwykle niechętnie zajmuje się sama podwórzem — zostawia to służbie, właśnie z przyczyny tego brudu. Trudno się dziwić, że nie ma ochoty zaglądać do chlewów, czy kurników, w których panuje taki zaduch, iż kilkuminutowy pobyt może przyprowadzić o ból głowy, a brud taki, że idąc w najpogodniejszy dzień, powinnyby się nakładać kalosze.

Opłacalność hodowli, czystość i nadzór pani domu — są to trzy, nawzajem od siebie uzależnione, warunki dobrego stanu gospodarstwa. Służba, pozostawiona sama sobie, nigdy nie będzie dbała o czystość, gdyż zupełnie nie rozumie jej znaczenia, a przeciwnie, wie, że brud, nieporządek chroni ją od częstego zaglądania pani domu, więc od kontroli, której nawet ucziwa służba nie lubi.

Może niejednej z pań gospodyń to wymaganie czystości i porządku w chlewach i kurnikach wyda się przesadne, gdyż w jej gospodarstwie i tak wszystko dobrze się chowa i przynosi dochód.

Pomińmy więc kwestję opłacalności; ale, czy dzisiaj, gdy tak dużo się mówi o higjenie życia codziennego, można nie myśleć o czystości w gospodarstwie, tak ściśle związanem z kuchnią naszego domu? W tych samych warunkach, które uznajemy dla siebie za nieodpowiednie, albo wprost szkodliwe dla zdrowia, pracuje służba i zwykle te same służące mają robotę w kuchni, co w podwórzu. Często można zaobserwować fakt, że pani domu, sama bardzo dbając o higienę i czystość, nie uwzględnia tego, że pojęcie higieny nie może polegać na unikaniu zetknięcia się z brudem, ale na tem, aby brudu w obrębie naszych gospodarstw wogóle nie było.

Naturalnie, nie każdego stać na wzorowe budynki, zwłaszcza dla małej ilości inwentarza; ale nawet w bardzo prymitywnych chlewach i kurnikach należy porobić odpowiednie okna, które zapewniłyby światło i możność przewietrzania budynku. Okna muszą być oszkłone, dające się otwierać i zamykać. W chlewach podłoga może być zrobiona z różnego materiału, zależy to już od budowy całego budynku; w każdej jednak powinny być porobione ścieki, które odpływałyby gnojówka do odpowiednich zbiorników na zewnątrz budynku. Ściółka powinna być często zmieniana lub dościelana, tak, aby była stale sucha. Nawóz musi być bezwzględnie uprzątny codziennie, zarówno w chlewach, jak w kurnikach.

Raz na dwa tygodnie, o ile możności w suche, pogodne dni, każdy budynek powinien być dokładnie wewnątrz bielony wapnem, do którego dobrze jest dodać  $\frac{1}{4}$  kg. kleju stolarskiego i  $\frac{1}{2}$  litra carbolineum na wiadro wapna. Ta mieszanina szczelnie przylega i trzyma się ścian, zasklepia szpary i zapobiega gnieźdzeniu się robactwa.

Wszystkie urządzenia i sprzęty drewniane — np. koryta i korytka, w których dajemy karmę świniom, czy kurom, grędy i gniazda dla kur — również powinno się 2 razy na miesiąc, albo i częściej, bielić. Można zamiast wapna stosować inne środki dezynfekcji i utrzymywania czystości, np. szorowanie ługiem, ale bielenie wapnem jest najtańszym, najprostszym, a w skutkach najlepszym sposobem.

Jeśli zwierzęta są trapiione przez pasożyty, to trzeba się tej plagi pozbyć. Należy nauczyć służbę, że zwierzęta muszą mieć czystość, a chlew i kurnik powinien być tak utrzymany, żeby można było zawsze bez przykrości wejść do niego, dotknąć się zwierząt, czy też kurę wziąć do ręki. Łatwiej jest przytem dopilnować dziewczynę, aby rano po oprzątnięciu inwentarza umyla ręce i nałożyła czysty fartuch, niż w ciągu całego dnia kontrolować, czy nie przychodzi umazana nawozem do kuchni, albo brudnymi rękami nie zabiera się do pomocy w gotowaniu.

Powinno się stale, bez względu na czystość inwentarza, przestrzegać, aby dziewczyny myły ręce po skończeniu każdej czynności w podwórzu, zmieniały fartuchy i t. d. Jeśli zajrzenie do chlewu, czy kurnika nie jest połączone z koniecznością ubrudzenia się, to znacznie łatwiej i w kuchni czystość utrzymać. Trudno uniknąć przenoszenia tych samych naczyń i szkopków czy misek z chlewu lub kurnika do kuchni, należy więc tylko dbać o ich czystość. Z brudnych kurników zawsze się przynosi jaja, umazane nawozem; jeśli kurniki i gniazda są utrzymane w porządku — jajka będą czyste.

Utrzymując więc czystość i porządek w podwórzu, unikniemy wielu nieporządków w kuchni, które, jeśli nawet nie są szkodliwe dla zdrowia, są conajmniej nieapetyczne; poza tem stwarzamy higieniczne warunki pracy dla naszej służby i umożliwiamy wielokrotne zwiększenie się opłacalności naszej hodowli.

*Zofja Prażmowska.*

# OPRAWIANIE KSIĄŻEK, JAKO MIŁA ROZRYWKA



Przed oprawieniem grubego miesięcznika trzeba go najpierw podzielić.

W każdym domu zbiera się czasem pokaźna ilość czasopism i miesięczników, które zabierają miejsce i przeszkadzają w utrzymaniu porządku. A jednak nie możemy się zdecydować, aby je rzucić na pastwę płomieni, gdyż pełno w nich ciekawych opowiadań, szkiców, wierszy, praktycznych przepisów, wzorów do robót, rad gospodarskich, a nawet pięknych ilustracyj i obiecujemy sobie zajrzeć jeszcze nieraz do tych skarbów.

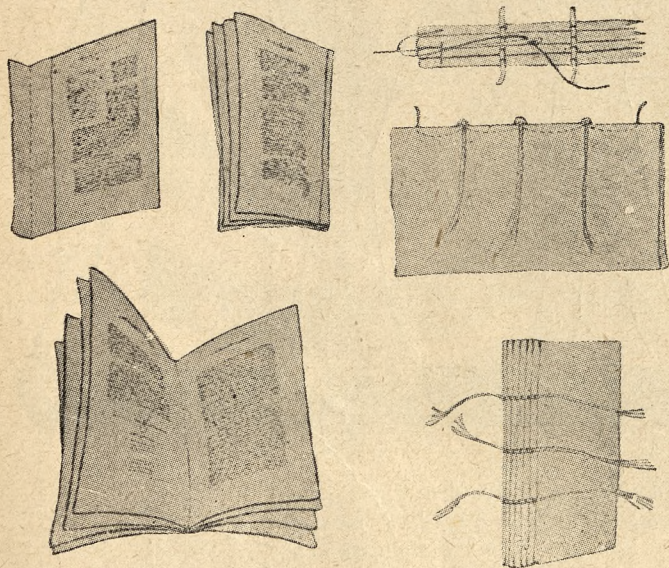
Czyż nie lepiej zrobić nareszcie porządek z całym tym stosem pism, wybrać z nich to, co jest istotnie pożyteczne lub ciekawe i nadać wszystkiemu trwałą formę, oprawiając w piękne, własnoręcznie sporządzone okładki?

Przy oprawianiu można stosować różne systemy. Można wyjąć cały szereg opisów z podróży z kilku miesięczników np. o tych samych rozmiarach. Oprawiamy je razem i mamy nową i ciekawą książkę.

Umiejętność oprawiania książek można doprowadzić do takiej perfekcji, że stają się one małymi dziełami sztuki.

Istnieją dwa sposoby oprawiania miesięczników. Wkłada się jeden arkusz w drugi, tak, że wszystkie razem tworzą jedną całość, którą się przytrzymuje dwoma spinaczami i pokrywa z obu stron okładką; albo też pojedyncze kartki składa się na kilka części, każdą z nich łączy się mniejszymi spinaczami i, naturalnie, tak samo przyklepia się wkońcu okładkę.

Oprawiając miesięcznik, trzeba go wprawdzie podzielić na arkusze. W tym celu wyciąga się wszystkie spinacze (klamerki)

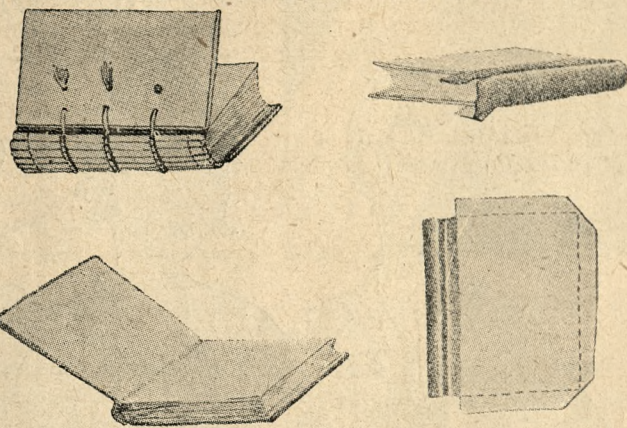


Sposób zeszywania i składania poszczególnych części.

i wogóle wszystko, co łączy ze sobą kartki, gdyż muszą być zupełnie luźne.

Bardzo często chcemy zachować tylko jedną połowę jakiegoś arkusza — druga nie przedstawia dla nas żadnej wartości. Wówczas odrywamy tę połowę, przyklejamy do jej grzbietu wąski pasek papieru, zgiętego wpół, i przyklepiamy go drugą połową do odpowiedniej części miesięcznika. W ten sam sposób wklejamy też luźne ilustracje, które nam są potrzebne.

Następnie układamy wszystkie poszczególne części w tym porządku, w jakim mają być oprawione, sprawdzając jeszcze przedtem dokładnie, czy wszystkie kartki, lub też ilustracje są odpowiednio wklejone. Wycinamy cztery kartki papieru tej samej wielkości, co oprawiany miesięcznik — po dwie na początek i koniec książki. Z każdej strony jedna tworzy pierwszą i ostatnią kartkę, druga stanowi podszewkę okładki.



Szew introligatorski przed wykończeniem okładki i ostateczne wykończenie oprawy.

Dobra oprawa książki zależy przeważnie od dobrego wszycia mocnego sznurka lub taśmy do grzbietu poszczególnych części książek; ten sznurek przeciąga się następnie przez karton, który znajduje się pod pokryciem okładki.

Do książki o normalnej wielkości miesięcznika — t. j. 17<sup>1</sup>/<sub>2</sub> ctm. na 25 ctm. — wystarczy wszyć trzy sznurki lub taśmy; lecz jeśli wszyjemy pięć takich kawałków, książka będzie lepiej i dłużej się trzymała.

Należy najpierw przymocować jeden kawałek sznurka poprzecznie przez środek grzbietu jednej z oddzielnych części miesięcznika, a potem znów po jednym w środku obu boków. Sznurek powinien być tak długi, aby go można było kolejno przymocować do wszystkich części książki i żeby po obu stronach zostało jeszcze po 15 ctm.

Każdą z poszczególnych części wszywamy oddzielnie mocnymi nićmi. Potem przebijamy grubą igłą otwór z obu stron grzbietu w odległości około 1 ctm. od każdego końca książki.

W ten sposób przyszywamy sznurki do wszystkich części pokolei. Potem przesuwamy igłę, zaopatrzoną w długą, mocną nitkę, przez otwory, zrobione po obu końcach grzbietów, zostawiając nazewnątrz wiszący kawałek nitki (około 7 ctm. długości). Owinąć nitkę dokoła otworu, a potem przeciągnąć ją wzdłuż grzbietu, aż do pierwszego sznurka, przymocować ją do niego i przejść dalej do następnego. Postępować tak ze wszystkimi sznurkami, aż do ostatniego otworu. Zakończyć nitkę, owijając ją znowu dokoła otworu i zostawiając taki sam kawałek wiszący. Z drugiej strony grzbietu trzeba przesyć mocną nitką sznury od jednego otworu do drugiego, a wkońcu oba wiszące końce nici związać mocno nad grzbietem, po obu jego końcach. Przygotować dwa kawałki grubej, introligatorskiej tektury na okładki. Tektura musi z każdej strony wystawać o jakie 1/2 ctm. poza brzegi książki. Jeśli brzegi tektury są nierówne, należy je wygładzić kawałkiem „glas-papieru“.

Ołówkiem naznaczamy miejsce na obu kawałkach tektury, przez które zamierzamy przeciągnąć sznurek, potem przebijamy po dwa otwory w odległości około 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> ctm. od brzoza, a w odległości 1 ctm. jeden od drugiego. Przeciągamy końce sznurka przez otwory, wysmarowawszy je przedtem dobrze klajstrem lub kle-

jem. Skoro już przeciągnęliśmy i przymocowaliśmy równo sznur, uderzamy go mocno młotkiem lub ciężarem, żeby go jaknajwięcej splaszczyc i jaknajbardziej zrównać z okładką. Po dokonaniu tych czynności mamy książkę gotową do pokrycia. Okładkę robi się z welinowego lub płóciennego papieru, z imitacji skóry lub z papieru tapetowego. Grzbiet i rogi książki można zrobić z płótna angielskiego.

Odeinamy kawał kolorowego papieru płóciennego, wielkości odpowiedniej do objętości grzbietu książki z dodaniem 4 ctm., które zachodzą na okładkę, i 2 $\frac{1}{2}$  ctm. do zagięcia na obu końcach książki. Smarujemy papier klejem po odwrotnej stronie i przyklepamy do obu stron okładki, tak, aby książkę można było swobodnie otwierać.

Odeinamy papier na okładkę, zostawiając wszędzie po 2 $\frac{1}{2}$  ctm. na zagięcie wzdłuż tektury i 1 i  $\frac{1}{4}$  ctm. na pokrycie płótna, obejmującego grzbiet. Powlekamy go dokładnie klejem po odwrotnej stronie, przyklepamy równo do tektury, zaginając starannie boki i uważając na rogi. Na zakończenie przyklepamy wewnątrz białą kartkę papieru do obu części okładki. Skoro już cała praca została ukończona, wkładamy kilka kartek białego papieru pomiędzy obie części okładki, a kartki książki, i przyciskamy ją ciężarkami. Książka powinna pozostać tak przyciśnięta przez czas dłuższy, aż zupełnie wyschnie.

Po kilku mniej lub więcej udanych próbach dochodzimy do wprawy i możemy robić przepiękne, fantazyjne okładki.

H. Latoszyńska.

## DLA DZIEWCZYNEK



1. Sukienka z jasnej welny, przybrana ciemniejszym jedwabiem i guzikami.

2. Sukienka z deseniowego woalu wełnianego, przybrana gładkim woalem.

3. Sukienka z sukna lekkiego szaro-niebieskiego, przybrana białym sukmem.

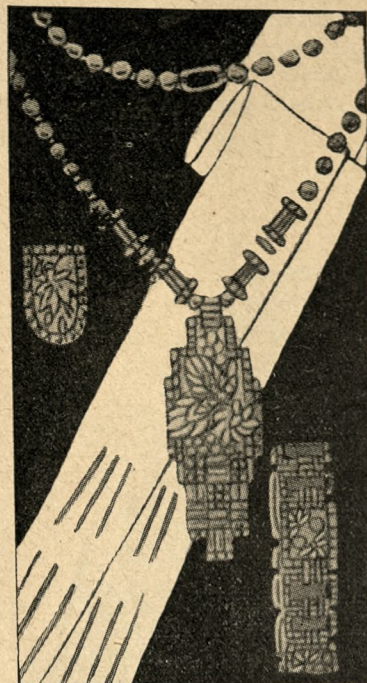
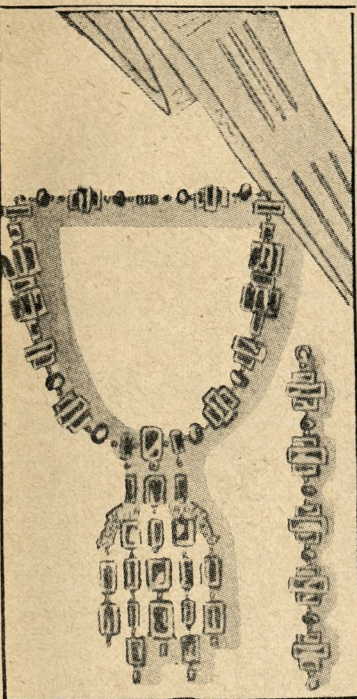
4. Sukienka z meteoru, przybrana ręcznym haftem.

5. Sukienka z ciemnego aksamitu — strojny fartuszek z surowego jedwabiu, przybrany ręcznym haftem kolorowym.

## PACIORKI I INNE DROBIAZGI

Czasy, w których ta sama staroświecka brosza spinała kołnierzyk angielskiej bluzki i zdobiła koronkowy, lub dżetowy stanik tualety balowej — minęły bezpowrotnie. Dziś każda pora dnia wymaga innej tualety, a każda tualeta — innych biżuterij. Wymaganiom tym mogłyby sprostać jedynie amerykańskie miliardarki, gdyby nie ta szczęśliwa okoliczność, że moda współczesna nie żąda od nas bynajmniej klejnotów prawdziwych.

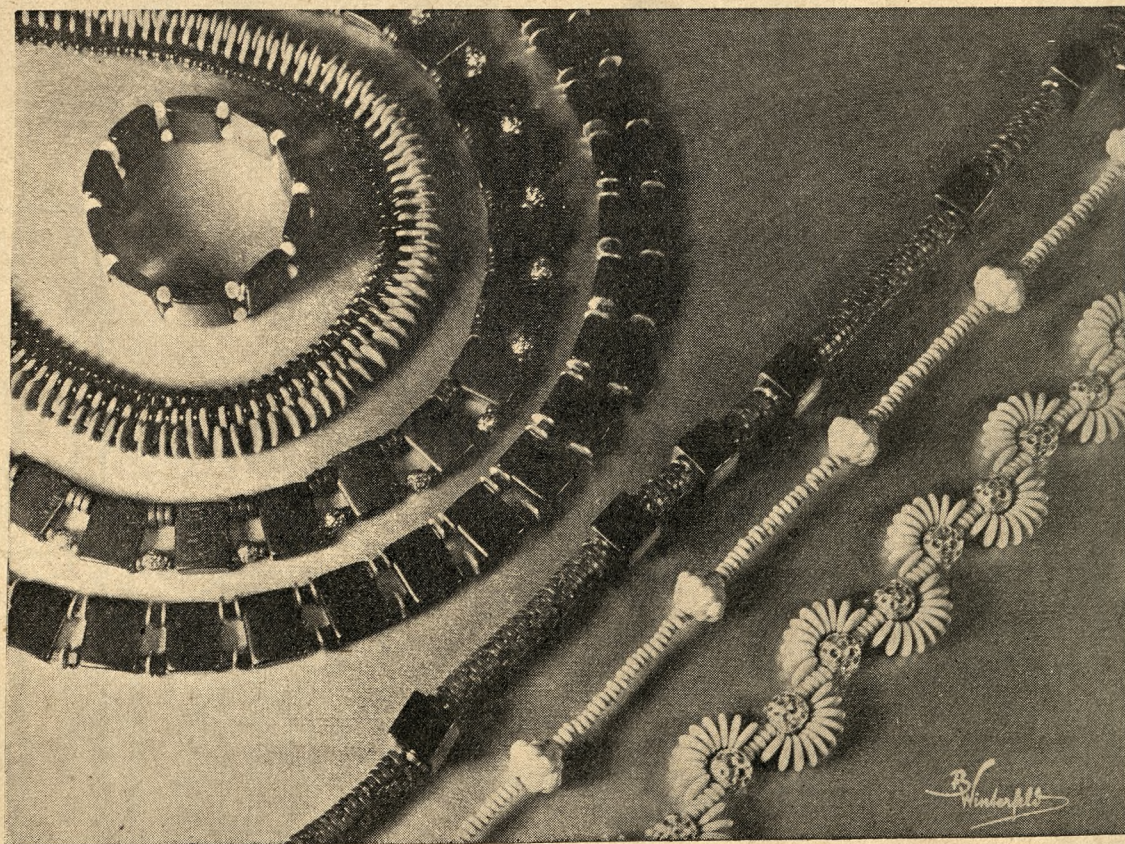
Hasło: „Chaque robe son collier“ — brzmi tylko pozornie groźnie. Modne naszyjniki — to kombinacje paciorków drobnych i bujnych, dobieranych rozmaicie, zależnie od charakteru sukni, do której mają być noszone. Do skromnych, biurowych sukienek z tweedu nosi się ciasno obejmujące szyję naszyjniki z paciorków ciemnobronzowych i matowo złotych, drobiuchnych, splecionych w misterny, koronkowy deseń, lub też bujnych, jak chłopskie korale. Paciorki te mogą być ze szkła, porcelany, galalitu lub rzeźbionego i lakierowanego drzewa. Im strojnieszka jest suknia, tem dłuższy, tem efektowniejszy powinien być naszyjnik. Do popołudniowych sukienek — modnie czarnych — nosi się naszyjniki o barwach żywych: różowe, ametystowe, szmaragdowe i najulubieńsze — turkusowe. Zamiast korali, ametystów, szmaragdów i turkusów uży-



wa się na nie polerowanych kulek porcelanowych w najrozmaitszych rozmiarach. Naszyjniki z ziarn bardzo bujnych nosi się w jeden rząd, pozwalając całej ich długości zwiisać swobodnie; drobniejsze owijają się około szyi trzykrotnie.

Bardzo piękną harmonję z kolorowym naszyjnikiem stanowią dobrane koleczyki, bransoleta, brosza i kłamra na kapeluszu. Może być też i pierścionek. Drogie kamienie w podobnym garniturze zastępuje porcelana lub emalja; brylanty—strassy, platynę — biały metal. Garnitur jest cenny nie przez swą kosztowność, a przez staranne dobranie poszczególnych części całości.

Do tualet wieczorowych modne są wszelkie świeciadła. Kulki ze strassów, szlifowane kryształy etc. Modne są też wszelkie fantastyczne kombinacje, byle były pomyślane w ścisłym związku z barwą i charakterem tualety. Np. do sukni z koralowego velours-chiffon lub żorzety — naszyjnik z drobnej sieczki koralowej i srebrzystej, prosto nanizanej na szeregi równych nitki. Jedna połowa naszyjnika będzie koralowa, druga srebrna; za połączenie posłuży im kula z filigranowego srebra, lub matowego kryształu. Końce można przerzucać niedbale z tyłu czy przodu, zależnie od humoru pięknej pani, lub kształtu dekoltu pięknej tualety. Barwy mieniających się brokatów, tak modnych obecnie na suknie wieczorowe i bardzo strojne popołudniowe, mogą również podsunąć szereg szczęśliwych pomysłów na naszyjniki i inne akcesoria toaletowe. Pomysłowa pani może minimalnym kosztem, z odrobiną cierpliwości, sfabrykować sobie z pół tuzina tych estetycznych ozdób, stosownych do najrozmaitszych sukien i okazji. Ale, o ile się nie jest bardzo pewną swego gustu, lepiej nie ryzykować i nabyć naszyjnik gotowy. A jeszcze przed nabyciem poradzić się wypróbowanej krawcowej, bo przyjaciółki bywają nieraz zazdrosne i przewrotne. Well.



- 7. Suknia z wełnianego trykotu „jersey“.
- 8. Suknia z aksamitu deseniowego.
- 9. Suknia sportowa z trykotu.
- 10. Suknia sportowa z gładkiej wełny, przybrana trykotem.



6.

6. Suknia z gładkiej wełny — kołnierzyk i rękawki z koronki.



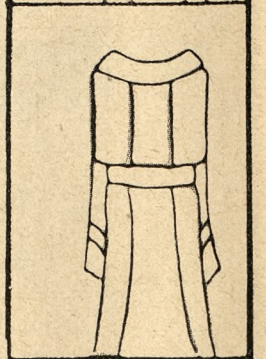
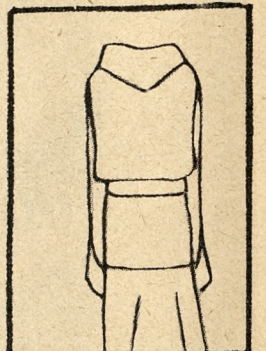
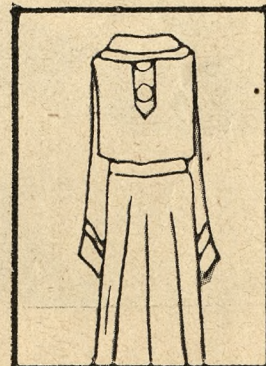
7



8

9

10



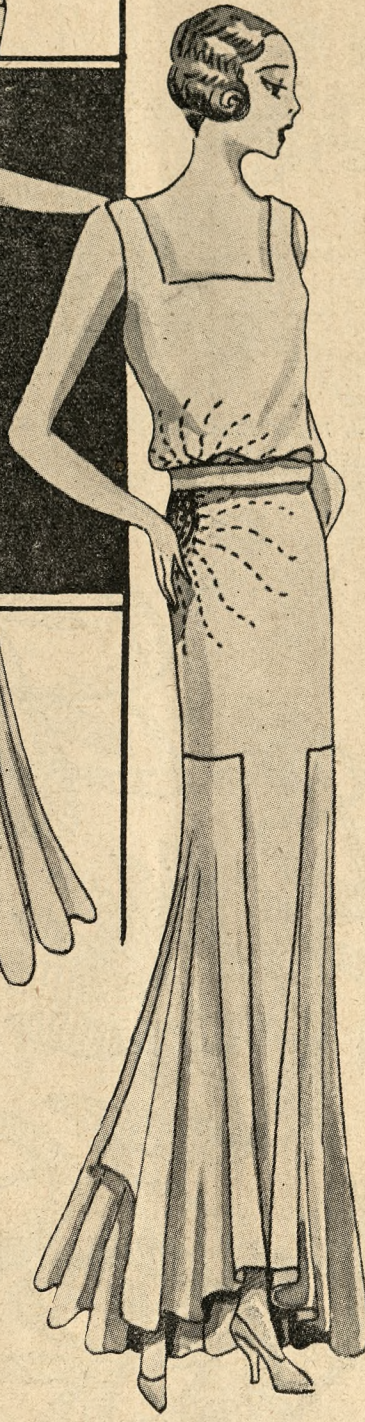
11. Suknia balowa z crêpe-satin w dwóch cieniach.  
 12. Suknia z białego jedwabnego aksamitu -- dół  
 i haft w kolorze czarnym.  
 15. Suknia z białego meteoru, przybrana czarnym.  
 14. Suknia z żorżety — haft ręczny.



11

12

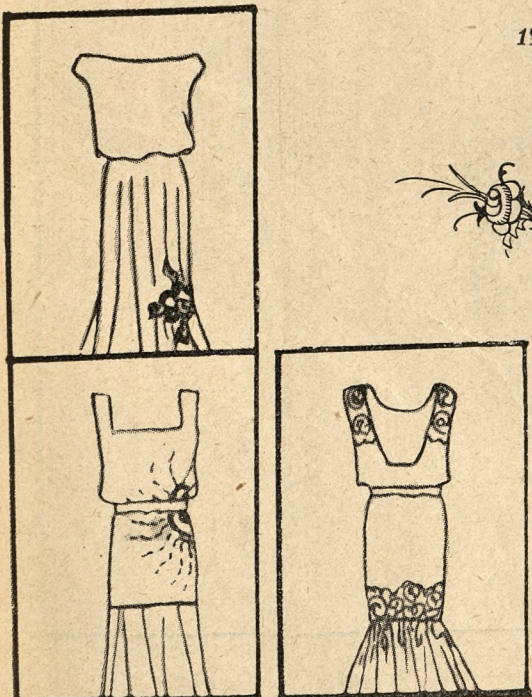
15



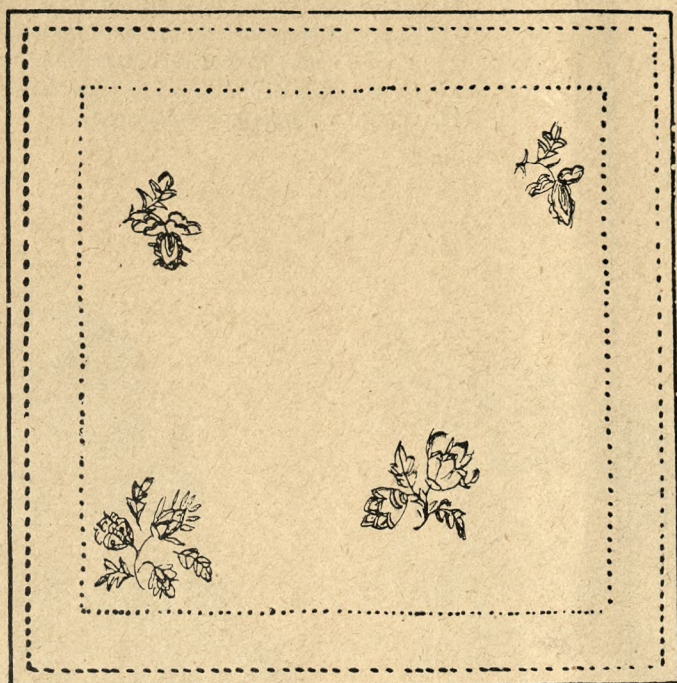
14



15



15. Suknia balowa z czarnego tiulu —  
 „sortie“ z turkusowego aksamitu.



16. Serwetka z płótna samodziału, wykończona merezką i ozdobiona haftem wykonanym białą barwną lub jednym kolorem, np. niebieskim albo koralowym.







17. Motywy haftu angielskiego do ozdobienia poszerki i podpinki wykończonej wstawką i koronką.



## SPORTOWA CZAPECZKA Z CZESANEJ WELNY



Elegancką czapkę-berecik robi się szydełkiem z ostrej wełny, w kolorach białym, granatowym, brązowym lub popielatym. Trzy łańcuszkowe ścięgi zamknięte w kółko, otaczamy rzędami ściągów ścisłych, przybierając jeden co drugie oczko dopóki nie otrzymamy płaskiego denka o 26 centymetrach średnicy. Wtedy robimy 10 rzędów bez dobierania oczek a następnie ujmujemy co 8 lub 10 po jednym oczku. Po przerobieniu kilku takich rzędów przymierzamy obwód beretu: jeżeli jest wystarczający, robotę przerywamy, w przeciwnym razie dorabiamy jeszcze kilka rzędów. Odwracamy czapkę na lewo i dorabiamy na daszek 27 do 30 ścisłych oczek to jest od prawej do lewej skroni i robimy tam i z powrotem potrzebną ilość rzędów. Aby zaokrąglić daszek ujmujemy na początku i na końcu po jednym oczku a gdy otrzymamy w środku 7 do 8 centymetrów wysokości, czapka jest skończona. Pozostanie nam wyczesanie jej ostrą drucianą szczotką, najlepiej na odpowiedniej formie, główkę szczotkujemy tylko z wierzchu, daszek z wierzchu i ze spodu. Trzeba go odwrócić, ułożyć i zaokrąglić ręką z każdej strony zwięzając przy skroniach i paroma ścięgami przyczepić w górze do bereta. Stosownie do grubości jaką chcemy nadać, robimy łańcuszek z paru lub kilku nitek wełny tak długi, aby z dwóch stron zakończyć go zwiniętymi kólkami.

## OPAL ORGANIZMU LUDZKIEGO

Cukier jest pierwszorzędnym źródłem energii ludzkiego organizmu, świetnym paliwem dla ludzkiej maszyny.

Cukier powinien zająć pierwsze miejsce w odżywianiu człowieka pracującego fizycznie, żołnierza, kobiety i dziecka. Od lat zauważono dodatnie działanie cukru. Całkiem niesłuszne są przypuszczenia, jakoby cukier był przyczyną rozmaitych chorób.

Cukier należy do grupy węglowodanów i odgrywa w ludzkim organizmie rolę paliwa, źródła ciepła i siły.

Wielki afrykański podróżny, Stanley, twierdził jeszcze przed laty, że kostka cukru dodawała mu sił podczas długich marszów w upalnej Afryce.

Angielski fizjolog Gardner twierdzi, że energję, jaką wykazywali burowie podczas wojny z Anglikami, zawdzięczali oni w pierwszym rzędzie obfitemu spożywaniu cukru. Gardner twierdzi, że wyższość anglosaskiej rasy zależy między innymi od konsumpcji cukru, gdyż Anglicy konsumują trzy razy tyle

cukru, aniżeli Francuzi. Niemiecy żołnierze otrzymują podczas manewrów lub na wojnie dodatkową dawkę cukru, w ilości 40 — 50 gr. na osobę.

Cukier wzmacnia siłę i odporność człowieka, zmniejsza zaś pragnienie i głód.

Uczeni francuscy, Claude Bernard i Chauveau, skonstatawali jak pożywnym jest cukier, zwłaszcza dla ludzi pracujących fizycznie.

Cukier bywa trawiony w zupełności, nie zużywając soków żołądkowych.

Ważną jest rola, jaką powinien odegrać cukier w walce z alkoholizmem. Alkohol podnieca chwilowo, poczem następuje osłabienie. Osłabia i pustoszy on zupełnie organizm.

Cukier działa wręcz odmiennie, dlatego jest tak bardzo pożądanym środkiem odżywczym.

### „ŻADEN GOŚC TEGO NIE ZAUWAŻY

że jestem bez służącej“, powiedziała p. B. do swego męża. „Zauważ, przychodzę wprost z kuchni do salonu i będę wyglądała, jak gdybym się dopiero co świeżo uczesała“. „Ależ, moja kochana, jak chcesz to skutecznić?“. „Bardzo zwyczajnie: pudruję się Suchym Shampooem z Czarną Główką i w ciągu 3 minut fryzura moja jest bez zarzutu“.

### Herbaty luksusowe

w luźnym opakowaniu  
oraz paczkowane  
światowych firm.

ze swych składów

Marszałkowska 89  
Mazowiecka 5

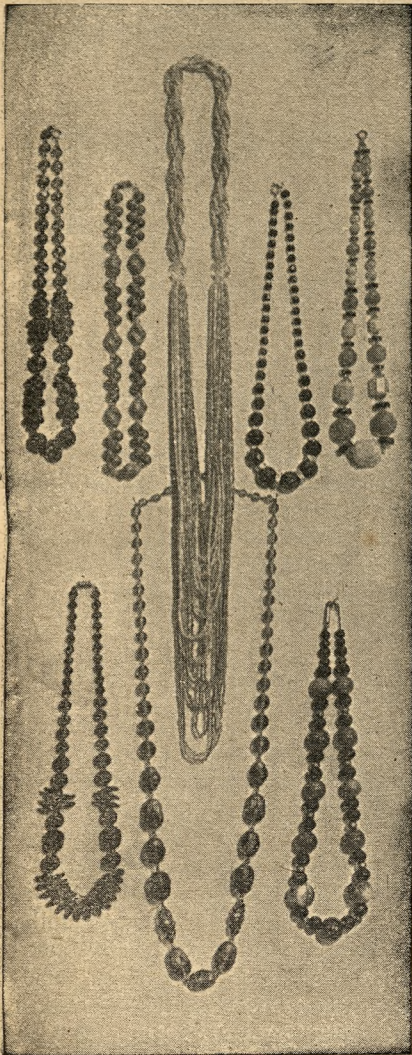
### KAWA

co godzinę  
świeżo palona  
poleca najtaniej

Teofil Marzec. 419

# PREMJE DLA CZYTELNICZEK „BLUSZCZU“

ZWYCZAJEM LAT UBIEGŁYCH PRZYGOTOWALIŚMY I W TYM ROKU CENNE UPOMINKI DLA NASZYCH STAŁYCH PRENUMERATOREK. UPOMINKI, KTÓRE NAPEWNO URADUJĄ KAŻDĄ Z CZYTELNICZEK.



## Posłuchajcie!

Kto wniesie wprost do naszej Administracji 30 zł, t. j. półroczną prenumeratę „Bluszczu“, opłaconą z góry,

**OTRZYMA, JAKO BEZPŁATNĄ PREMJĘ, JEDEN Z NASTĘPUJĄCYCH PRZEDMIOTÓW DO WYBORU:**

- 1) MODNY NASZYJNIK (paciorki), odpowiedni do każdej sukni i niezbędny dla każdej eleganckiej pani;
- 2) Zaczętą, z dołączonymi dodatkami, SERWETKĘ na talerz do chleba;
- 3) Znany ze swej dobroci KREM DO RĄK, wyrobu firmy Fr. Puls, w Warszawie;
- 4) FLAKON znakomitej WODY KOŁOŃSKIEJ — PULSA.

**Przesyłając prenumeratę, należy koniecznie wymienić, którą premję Pani wybiera, gdyż w przeciwnym razie wyślemy podług naszego uznania.**



Niezależnie od tych premij **każda 20-ta** prenumeratorka, z pomiędzy wpłacających roczną prenumeratę **otrzyma prześliczne wydawnictwo „Sztambuch-Skarbnica romantyzmu“** w opracowaniu **St. Wasylewskiego**. Każda **setna, dwuchsetna i t. d.** otrzyma arcydzieło M. Grossek-Koryckiej p. „Świat Kobiety“.

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### PĄCZKI Z SZYNKĄ.

Rozprowadzić 5 dkg. drożdży szklanką letniego mleka słodkiego, wsypać 20 dkg. najprzedniejszej mąki pszennej, wymieszać i postawić rozczyń w ciepłe, aby podrosł; poczem wbić 3 żółtka, 2 całe jaja, dodać 3 dkg. mąki pszennej, łyżeczkę mialkiego cukru, szczyptę soli i 10 dkg. sklarowanego masła deserowego. Wyrobić doskonale ciasto kopystką drewnianą i postawić pod przykryciem w ciepłe, aby spokojnie wyrosło.

55 dkg. szynki gotowanej (bez tłuszczu) przepuścić dwa razy przez maszynkę od mięsa, wyłożyć na donicę i ucierać, dodając 20 dkg. masła deserowego, dopóki masa nie zrobi się zupełnie jasna i jednolita. Postawić donicę w chłodnym miejscu, aby farsz doskonale zastygł.

Wyrośnięte ciasto drożdżowe wyjąć na stolnicę posypaną mąką, rozwałkować delikatnie na grubość palca i wycinać kieliszkiem od wódki małe kółeczka. Na krążkach z ciasta kłaść

zgrabne kuleczki z farszu, przykrywać drugim krążkiem ciasta, zalepiać brzegi i układać pączki na sicie, przykrytym serwetą. Trzymać w ciepłe, a gdy podrosną, rzucać na rozgrzany szmalec i smażyć do zrumienienia.

Ośączone z tłuszczu układać na okrągłym półmisku, przysypując parmezanem. Podawać po zupie.

### JAJKA POD BESZAMELEM.

Ugotować dowolną ilość jaj na twardo, wystudzić w zimnej wodzie, obrać ze skorupki, przesiekać niezbyt drobno. Przygotować sos beszamelowy na podstawie słodkiej śmietanki, dodając dla smaku kilka łyżek młodej kwaśnej śmietany (śmietaną rozbić ze szczyptą soli, aby się nie zwarzyła w połączeniu ze słodką śmietanką); wymieszać jaja z sosem, wyłożyć na ogniotrwały głęboki półmisek. Dookoła przybrać rantem z kartofli, przyrządzonym, jak niżej, i zapiec w gorącym piecu. Przed wsu-

**Już ze świeżych zbiorów**

jest do nabycia w handlach  
kolonialnych świato-  
wej sławy

herbata angielska

**Lyons'a**

Składy: **TEOFIL MARZEC** Warszawa  
Marszałkowska 89; Mazowiecka 5 417

nięciem do pieca posypać jaja i kartofle tartym parmezanem i skropić masłem roztopionem.

*Sposób przyrządzenia kartofli.* Ugotować 1 kg. kartofli obranych z łupin, po odlaniu wody trzymać chwilę na blasze bez przykrycia, aby doskonale odparowały. Przepasować przez sito, albo przepuścić przez maszynkę od kartofli, wyłożyć na donicę, wbić jedno całe jajko i jedno żółtko, dodać łyżkę masła deserowego, trochę utartej cebuli, którą trzeba sparzyć wrzątkiem, aby zatraciła ostrość, posolić do smaku, dodać trochę białego pieprzu, doskonale wymieszać, a gdy masa przestygnie i stężeje, uformować z niej rant, równając go nożem, maczanym w roztopionym masle.

#### BULWY SMAŻONE.

Wybrać bulwy nieduże jednakowej wielkości, oczyścić, zagotować raz i wyrzucić na sito. Gdy obeschną, rzucać na gorący tłuszcz (masło lub szmalec) i smażyć do zarumienienia. Gdy się zrumienią i zmiękną, wyjmować delikatnie łyżką durszlakową, osączać z tłuszczu, układać w ładnej ogniotrwałej rynce, soląc, skrapiając buljonem i posypując na wydaniu siekaną zieloną pietruszką.

#### SALATA KRÓLEWSKA.

Osączyć na sicie szparagi i zieloną fasolkę z Wecka. Pokrajać w skośne, nieduże kawałki. Układać delikatnie na salaterce, dając warstwę szparagów i warstwę fasolki. Polewać w miarę układania oliwą, doskonale rozmięszaną z białym winnym octem, odrobiną soli, cukru i białego pieprzu. Sałaty nie mieszać, aby nie kaleczyć szparagów. Można też dodać do salátky trochę truflí (prawdziwych), krajanych w cienkie talarki. Przed wydaniem na stół trzymać dwie godziny w chłodzie.

#### SALATA WŁOSKA Z ORZECHÓW.

Szklankę orzechów włoskich (proporcja bez łupin) sparzyć wrzątkiem i obrać ze skórki. Wystudzić 5 jablek średniej wielkości (jabłka delikatne kompotowe) obrać z łupinek, pokrajać w cienkie, równe paski, skropić cytryną, aby nie straciły koloru. Ugotować pół klg. drobnych kartofelków, zwanych „nerki” (specjalnie na salatkę), obrać z łupinek, wystudzić, pokrajać w cienkie talarki, skropić ciepłą oliwą, aby się nie zlepiły.

Przyrządzając salatkę, przesiekać grubo orzechy, wymieszać jabłka z kartoflami i układać warstwami na szklanej salaterce, posypując każdą warstwę jablek i kartofli siekanymi orzechami i polewając sosem. Po wierzchu przykryć warstwą sosu, który przyrządza się w sposób następujący:

Do normalnie przyrządzonego sosu majonezowego dodać białego wina i soku, wyciśniętego z jednej cytryny i z jednej pomarańczy. Wymieszać, polać salatkę, trzymać dwie godziny przed podaniem na lodzie.

#### ANDRUTY PRZEKŁADANE KREMEM CZEKOLADOWYM.

Wykwintne, chrupkie andruty odświeżyć, trzymając kilkanaście minut w ciepłym (nie gorącym!) piecyku. Wystudzić. Smarować na palec grubo kremem czekoladowym, krajać na niewielkie trójkątne kawałki; układając, posypywać cukrem z wanilią.

*Sposób przyrządzania kremu:* 125 gr. masła deserowego postawić w donicy na parze, wsypując do tego samego naczynia 125 gr. utartej na tarce czekolady deserowej. Gdy masło i czekolada rozpuszczą się, wstawić donicę w miskę z zimną wodą, dodać 75 gr. przesianego cukru-pudru i ucierać łyżką drewnianą, dopóki nie uformuje się jasny, lekki krem. Kremu powinno przybyć drugie tyle. Można dla dodania smaku wsypać łyżeczkę najprzedniejszego kakao, lub drobnutko pokrajanej skórki pomarańczowej, osmażanej w cukrze. Andruty takie są wyborym dodatkiem do bitej śmietanki, podanej jako deser po wykwintnym obiedzie.

#### TORCIK KRUCHY Z JABŁKAMI.

Upiec okrągły torcik z rantem z kruchego ciasta, biorąc 50 dkg. mąki pszennej, 15 dkg. masła deserowego i 3 łyżki osianego cukru-pudru. Gdy trochę przestygnie, wyjąć z tortownicy i ułożyć na podstawie od tortu, wysłanej papierową serwetką z koronkowym brzegiem.

Przygotować marmeladę z jablek w sposób następujący:

1 klg. wyborowych jablek kompotowych obrać ze skórki, wydrążyć środki, pokrajać na nieduże kawałki. Włożyć jabłka do glinianego ogniotrwałego naczynia, wsunąć do niezbyt gorącego pieca, mieszać od czasu do czasu i trzymać w piecu, dopóki nie zrobi się z nich przezroczysta marmelada. Dodać cukru do smaku, sok z jednej, lub dwóch cytryn, 10 dkg. słodkich migdałów, obranych ze skórki i pokrajanych w cienkie paski, 5 dk. siekanej skórki pomarańczowej, osmażanej w cukrze. Doskonale wymieszać; nałożyć gorącą marmeladą torcik i pozostawić aż do wystygnięcia. Na godzinę przed wydaniem na stół polukrować lukrem pomadkowym o dowolnym smaku (najlepiej pomarańczowym) i przybrać skórkami pomarańczowymi i migdałami w skórkach. Torcik taki można podawać na deser po wykwintnym obiedzie.



408

OSZCZĘDNE I WYTWORNE panie, chcące mieć trwałą, modną i estetyczną fryzurę, czeszą się tylko u ALEKSANDRA, MARSZAŁKOWSKA Nr. 79, tel. 406-82. Ondulacja zwykła, wodna, trwała, mycie, farbowanie włosów, brwi i rzęs przez specjalistów. Manucure.

#### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.  
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.  
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.  
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75  
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”, Warszawa, Rymarska 8.